Wiadomości Salezyańskie

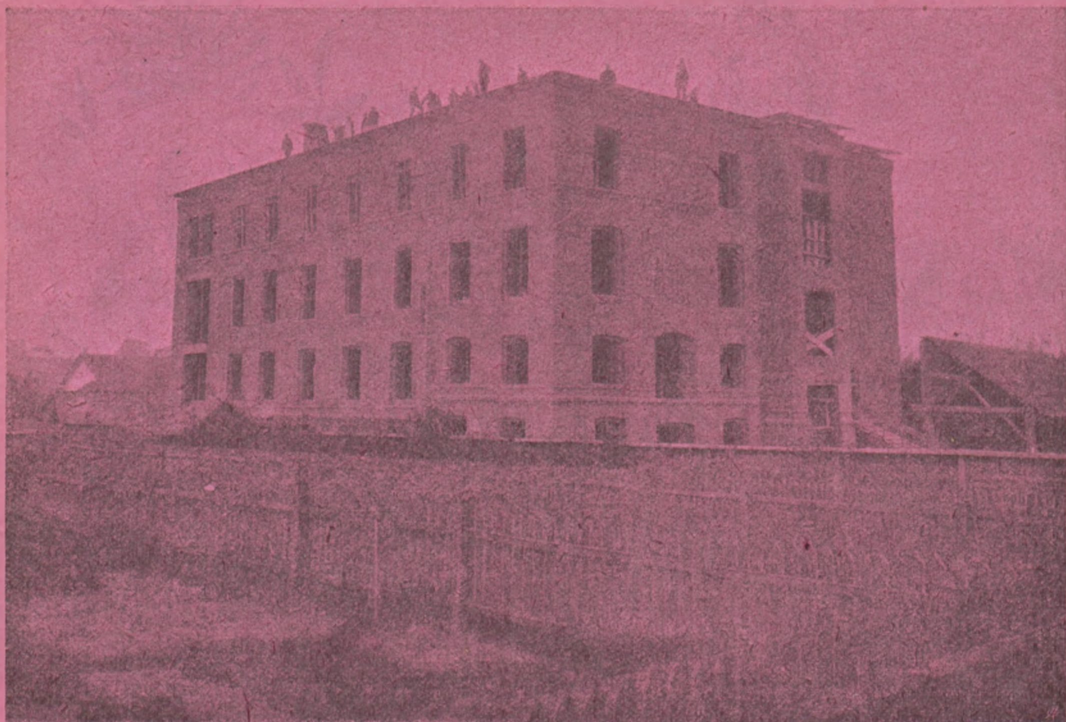
N. 8 — Sierpień — 1912
Rocznik XVI.

Beatus qui intelligit super egenum et pauperem: in die mala liberabit eum Dominus. [Ps. XL. 1]

Leo P. P. XIII.



DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE



Z PRZEMYŚLA.

Błogosławieństwo Najprzewielebniejszego Arcypasterza Józefa Pelczara oraz modlitwa Czcinajgodniejszego Ojca księdza Pawła Albery przy okazyi poświęcenia nowego zakładu w Przemyślu, ściągnęły widoczne błogosławieństwo Boże na tamtejszych współbraci. Pomimo trudności różnego rodzaju, a zwłaszcza ciężko przygniatających długów, pomimo braku personału, rozpoczęli pracę zbawienną nad młodzieżą opuszczoną, która do nich się garnie w godzinach popołudniowych. Wsród modlitwy, nauki i zabawy spędza wesoło i z korzyścią dla duszy i ciała czas, który, nieujęty rozumnym rozkładem, mogłby się stać zgubnym dla niej. Zaradziły temu oratorya Wiel. Sługi Bożego Księdza Jana Bosko początkowo we Włoszech, potem we Francyi w Hiszpanii, w Ameryce, słowem wszędzie dokąd tylko dotarli synowie jego. Nie mógło więc zabraknąć takiego przytuliska i na Ziemi polskiej. Przemyśl jest tym grodem szczęśliwym, który mieści w swych murach pierwsze oratoryum w Polsce.

Rozwinięto także żywą akcyę nad terminatorami. Gdy młodzież oratoryum opuszcza, gromadzą się rękodzielnicy, by po całodziennej pracy przy książce i niewinnej rozrywce kształcili ducha i zaprawiali się do zdrowego poglądu na świat. Postępując według zasad wiary świętej, w ktorej mają sposobność kształcenia się, wyrosną niezawodnie na dobrych synów Kościoła i kraju.

Tak więc ten dom zaledwo wybudowany, zatętnił życiem salezyańskiem. Gwarno w nim, bo przeszło 160 wśród malców i terminatorów znajduje w nim schronienie bezpieczne i ko-

ROCZNIK XVI. Sierpień 1912. Nº. 8.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich

Turyn — Via Cottolengo, 32

TREŚĆ: Str.

POBOŻNY ZWIĄZEK
Pomocników i Pomocnic Salezyańskich.

(C. D.).

V.

Ustrój wewnętrzny i zarząd Związku.

1. Ktokolwiek liczy 16 lat skończonych, może zostać Pomocnikiem Salezyańskim, byle miał mocne postanowienie stosować się do przepisów stowarzyszenia.

Pamiętać jednak wypada, iż wiek to tylko jakoby ramki obrazu. Główny zaś warunek i pierwszy jest, by, chcący zostać Pomocnikiem Salezyańskim, był dobrym, przykładnym i gorliwym katolikiem. Kto zaś, będąc Pomocnikiem, gorszące prowadziłby życie, zostanie z tego Związku wykreślony, gdyż staje się niegodnym nadal do niego należeć.

2. Związek poleca się pokornie łaskawości i opiece Ojca św., Biskupów i Proboszczy, od których *zupełnie* zawisły będzie we wszystkich tych sprawach, które się odnoszą do religii.

Tem swojem oparciem się w rzeczach wiary i religii o powagę Biskupów i Papieża, Związek przeciął raz na zawsze wszelkie zawikłania i jałowe dyskusye, które tak często paraliżują działalność najlepszych nieraz organizacyi. Pomocnicy Salezyańscy nie dyskutują — lecz pracują; nie spierają się — lecz pomagają duchowieństwu zakonnemu i

świeckiemu w pracy nad uświęceniem i naprawieniem społeczeństwa.

3. Główny Przełożony Zgromadzenia Salezyańskiego jest zarazem Przełożonym tegóż Związku.

4. Direktor każdego domu Zgromadzenia jest upoważniony do zapisywania zgłaszających się nowych członków (1); ich imiona, nazwiska i miejsce zamieszkania przesyła się następnie głównemu Przełożonemu, który to wszystko w ogólnym spisie umieści.

5. W miastach, miasteczkach i po wsiach, w których Zgromadzenie Salezyańskie nie posiada żadnego domu, a które liczyć będą przynajmniej dziesięciu stowarzyszonych, zamianuje się przewodniczącego, zwanego *Dekuryonem*, przy czem pierwszeństwo dawać się będzie kapłanowi, a w braku tegóż, osobie świeckiej powszechnie szanowanej. *Dekuryon* znosić się będzie i porozumiewać z Przełożonym głównym albo z dyrektorem najbliższego domu.

6. Każdy Pomocnik wedle danych okoliczności może każdego czasu przedstawić głównemu Przełożonemu wszystko to, co uważa za stosowne.

Dla naszej sprawy jest to zarządzenie bardzo ważne — bo Pomocnicy, znając lepiej stosunki miejscowe danego kraju lub okolicy, mogą z większą trafnością określić potrzeby i podać środki i sposoby pracy.

7. Co trzy miesiące albo jeszcze częściej zdawać się będzie Pomocnikom, czy to za pomocą **Wiadomości Salezyańskich**, czy też za pomocą innego pisma, sprawę z tego wszystkiego, co nam przedłożono, co już zrobiono i co do zrobienia pozostaje. Pod koniec zaś każdego roku przedłoży się stowarzyszonym spis spraw, któremi w roku następnym najwłaściwiejby się zająć wypadało. Poda się również wykaz zmarłych członków Związku, polecając ich dusze wspólnym modlitwom.

8. W dzień św. Franciszka Salezego i w święto Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, każdy dyrektor albo też dekuryon zbierze swoich Pomocników, ażeby się wzajemnie pobudzać do nabożeństwa ku tym niebieskim Opiekunom, by wyprosić sobie ich pomoc ku wytrwaniu w dalszej pracy w duchu Związku.

VI.

Obowiązki.

1. Członkowie Zgromadzenia Salezyańskiego uważają wszystkich Pomocników za swoich braci w Chrystusie i udają się do nich wprost, ile razy ich pomoc może być użyteczną ku większej chwale Bożej i korzyści dusz ludzkich. Pomocnicy znowu, ilekroć tego zajdzie potrzeba, z podobnem zaufaniem zwracać się będą do członków Zgromadzenia Salezyańskiego.

2. Stąd wszyscy związkowi jako synowie jednego Ojca niebieskiego a bracia w Chrystusie Panu, uczynią co tylko będzie w ich możności, aby wspierać i podtrzymywać zakłady Zgromadzenia, bądź własnym datkiem, bądź jałmużną zebraną u osób dobroczynnych.

3. Pomocnicy nie mają żadnych stałych zobowiązań pieniężnych, lecz bądź miesięcznie, bądź rocznie, taką ofiarują jałmużnę, jaką im wskaże ich litościwe serce. Datki te wysyłać się będą na ręce Przełożonego dla podtrzymywania spraw i zakładów Zgromadzenia.

Ofiary te można oddać także na ręce dyrektora najbliższego z podanych pod

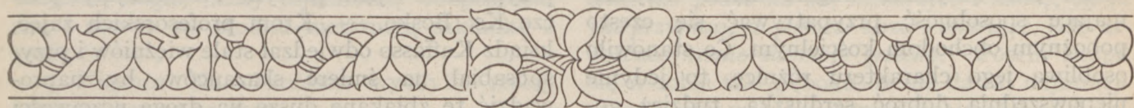
---

(1) Adressy do Domów Salezyańskich w Polsce są następujące:
Zakład X. Bosko
Austrya-Galicya — **Oświęcim.**
Zakład X. Bosko
Austrya-Galicya — **Przemyśl.** Ul. Św. Jana 15.
Schronisko Ks. Lubomirskich
Austrya-Galicya — **Kraków** — Rakowiecka, 27.
Zakład X. Bosko
Austrya-Galicya — **Daszawa** p. Gelsendorf-Stryj.
Z Ameryki Poln. udawać się trzeba albo w prost do Oratoryum w Turynie, albo też zwracać się do:
Przew. X. Dr. Tomasz Patalong
Zakład Ks. Bosko
Hawthorne, N. Y.
W Anglii zwracać się mogą do:
Catholic-Church
Mercer Str. Shadwell.
London E.

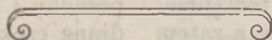
§ V. zakładów na ziemi polskiej, w Ameryce Północnej lub też w Londynie.

4. Corocznie odbędą się przynajmniej dwa zebrania: jedno w święto Matki Boskiej Wpomożenia Wiernych, drugie w święto św. Franciszka Salezego. Na każdem z nich odbędzie się składka w sposób jak wyżej powiedziano (nr. 3). Tam zaś, gdzieby Pomocnicy nie mogli stanowić *dekuryi*, lub gdyby w razie jakiejś przeszkody kto nie mógł przybyć na zebranie, wtedy prześlą swój datek drogą dla nich najdogodniejszą a pewną.

(*C. d. n.*).



Przelotny rzut oka na życie Czcig. Sługi Bożego KS. JÓZEFA KAFFASSO.



Niejednemu może katolikowi z przekonania i uczynków, roczytującemu się w dziejach naszej Matki-Kościoła Rzymsko-Katolickiego, przesunęła się przez głowę myśl, oddalona co rychlej z uczuciem zgrozy, iż z biegiem wieków Kościół nasz św. traci jednak nieco na swojej żywotności, objawiającej się w ścisłem, czasem aż do bohaterstwa posuniętem zastosowaniu się Jego wiernych synów w życiu swem do Prawd świętych, głoszonych przezeń od wieków. Nie przerażajmy się jednak bluźnierczą niemal pokusą, a dołóżmy raczej starania, by poznać bliżej przedziwnego ducha Kościoła; jego zaś zdolność ujawniania się w tysiącznych kształtach, stosownie do wymogów miejsc, okoliczności i czasów, wprawi nas w podziw, oraz przejmie głębszą jeszcze czcią dla tej wiecznie młodocianymi szczycącej się wdzięki Oblubienicy Chrystusowej, której płodność ustawicznie przyczynia ziemi cnotliwych ludzi, Niebu szczęsnych mieszkańców.

Wprawdzie w naszych czasach trudno o całe setki i tysiące Męczenników za wiarę św., jakto się zdarzało za tyraństwa rozbestwionych Neronów, pragnących jednym zamachem miecza odciąć głowę wszej ludzkości. Puszcze Tebaidzkie, które niegdyś kryły w swych nieprzebytych kniejach krocie pustelników, spędzających wiek cały na rozmyślaniu prawd wiecznych i chwaleniu bezustannem Boga, dziś przetrzebione lub całkiem zniszczone; gdzie pierwej grzywiasty lew potężnym swym rykiem płoszył grubego zwierza, obecnie przeciągły świst licznych fabryk, tudzież przytłumione sapanie lokomotywy płoszy na chwilę drobne, szare ptactwo. Rzadko dziś słychać o porzucaniu świata i jego marności przez osoby znakomitego rodu, członków panujących rodzin, co zamieniają purpurę na gruby habit zakonny. Gdzież tedy upatrywać objawów, nie znających starczego uwiądu żywotności Kościoła św., w obecnej dobie? — W jego historyi społecznej!

— Weźmy do rąk jakie pismo poświęcone wyłącznie śledzeniu rozwoju i działalności Kościoła, a znajdziemy tam drogie sercu wieści o powrocie na łono Matki słynnych profesorów uniwersytetów, najuczeńszych pastorów protestanckich, słowem, ludzi wybitne zajmujących stanowiska w społeczeństwie, o dobrem imieniu i światowej sławie. A gdy zechcemy przejrzeć i dział sprawozdań i listów z misyi, to łza zakręci nam się w oku na wiadomość, iż nietylko odszczepieńcy i kacerze najbardziej nam wrogo usposobionych odcieni, lecz poganie sami, a nawet i zaciekli wyznawcy Mahometa okazują głęboki szacunek i cześć niemal dla naszych Zakonników i Sióstr, obsługujących z macierzyńską iście troskliwością liczne szpitale, zaludnione trędowatymi i zapowietrzonymi. Lecz i w naszych czasach żyje wiele ludzi świątobliwych, takich nawet, co za życia jeszcze cuda czynią. Jedną z takich pochodni pod korcem był Ks. Józef Kaffasso, rówieśnik prawie Czcig. Ks. Jana Bosko, z tych samych co i on pochodzący okolic, a później jego mistrz w życiu duchownem, doradzca światły, gorliwy

popieracz jego dzieła w pierwszych tegoż zaczątkach.

Sześcioletni chłopczyk wiejski, Józio stroił ołtarzyki z drewienek i kamyczków, maił je modrakowymi kwiatkami i tatarakiem wraz ze swymi rówieśnikami z sąsiedztwa; urządzał z nimi procesye po zapłociach, prawiał kazańka wgramoliwszy się na jaki kamień przydrożny: słowem, takie okazywał skłonności w zaraniu życia, jak wszystkie wogóle dzieci wiejskie, mające sposobność przypatrywać się często pobożnym obchodom kościelnym. Co stanowiło osobliwą jego charakteru różnicę, to jedynie niepowszednia dobroć serduszka, tudzież gotowość pomagania innym. Oddany do szkół, sprawował się zawsze wzorowo; nie górował jednak nad swymi kolegami ani nadzwyczajnemi zdolnościami ani niezwykłą pamięcią. Idąc za głosem wewnętrzym, powołującym go do stanu duchownego, przywdział sukienkę kapłańską i odtąd nie wziął do ręki ni kart, ni szachów, ni pałeczki bilardowej, mawiając, że kto wstępuje do stanu duchownego, ten sprzedaje się ze wszystkiem Panu Jezusowi, a zatem nie ma prawa rozporządzać ani jedną chwilką według własnego ,,widzimisię".

Ksiądz Bosko lubił często opowiadać o pierwszem spotkaniu i zawarciu znajomości z młodocianym klerykiem Józefem. — ,,Liczyłem dwanaście lat (Kaffasso był o cztery lata starszy odemnie), gdy udałem się wraz z innymi na odpust do jednej z poblizkich wiosek, gdzie, jakto zwykle bywa w takich okolicznościach, panował wielki ruch wśród kramarzy i obraźników. Wydobywszy się z biedą z tego mrowiska ludzkiego, skierowałem swe kroki ku kościołowi parafialnemu, zamkniętemu w godzinach poobiednich, lecz nie ze wszystkiem opuszczonemu: u drzwi kruchty zobaczyłem jakiegoś kleryka, który czekał na kościelnego z kluczami. Ujęty jego dobrotliwą postacią, zbliżyłem się doń, a on niebawem wszczął ze mną rozmowę o rzeczach dotyczących duszy, czem odrazu podbił me serce. W krótce dowiedziałem się, iż kleryk ten nazywa się Józef Kaffasso i, że cnotliwem swem życiem buduje ludność całej okolicy."

Wyświęcony na kapłana, spotęgował on w sobie usilne i stateczne dążenie do uświątobliwienia swej duszy; to też niezadługo nowemi zajaśniał cnotami. Zrazu głosił ze świętem namaszczeniem i niemałem pożytkiem dusz, słowo Boże po okolicznych wioskach, spędzając przytem po sześć godzin bez przerwy w spowiednicy, mimo dotkliwego zimna w miesiącach zawiei i mrozu, czem zjednał sobie uznanie duchowieństwa, oraz głęboką miłość ludu. Gorliwości jego wielkiej duszy nie mogły wszakże sprostać wątłe siły fizyczne i wkrótce musiał zaniechać tego pola pracy, tak obfite plony mu obiecującego. Opatrzność dla ważniejszej przeznaczała go sprawy. W krótce powołano go na współpracownika nad wychowaniem młodych Lewitów. Tu zostawił on po sobie wiekopomne przykłady pracowitości, podsycanej niestrudzoną gorliwością o chwalę Bożą i zbawienie dusz; umartwionem zaś i pełnem zaparcia się życiem, przypominał Ojców pustyni. Posłuchajmyż jeszcze Ks. Bosko. — ,,Krom profesorskich zajęć, ksiądz Kaffasso odwiedzał stale więźniów i przysposabiał na śmierć skazańców, by naprowadzić te zbłąkane dusze na drogę uczciwości i cnoty, lub, by choć w ostatniej chwili pojednać je z Bogiem; a niełatwo mu to przychodziło. Pewnego razu pragnął nakłonić więźniów do spowiedzi wielkanocnej. Po licznych przemowach i rzewnych naukach, następujących po sobie przez kilka dni z rzędu, obiecali mu się wszyscy, co do jednego, nazajutrz wyspowiadać. Pełen otuchy przychodzi o świcie następnego poranku i zasiada do spowiadania. Czeka kwadrans, czeka pół godziny: nikt się doń nie zbliża. Wtedy wstaje, spogląda smutnie po mrocznej izbie podziemia więziennego, a ujrzawszy opodal jednego z najbarczystszych więźni, stojącego sobie obojętnie pod ścianą, podchodzi ku niemu i chwyta go za potężną brodę. Krępy ów młodzian jednym ruchem ręki mógłby się był uwolnić z rąk słabowitego księdza, lecz szacunek, jaki żywi dlań, nie pozwala mu na to. Więc z największą możliwie uprzejmością rzecze:

— Niechże mię ksiądz weźmie sobie całego, lecz brodzie mej niech da spokój!

— Mylisz się kochanku; nie puszczę ci brody dopóki się nie wyspowiadasz.

— Dziś nie mam zgoła ochoty do spowiedzi!

— A ja ciągnę za brodę.

— Nie pójdę!

— Będę ciągnął coraz silniej.

— Ależem wcale nie przygotowany do spowiedzi!

— To cię przygotuję!

Wobec takiej stanowczości brodal ustąpił i Ks. Kaffasso usiadł na tuż się znajdującym tapczanie; po chwili spowiadający się rozgniatał gorzkie łzy kułakiem i zakończył spowiedź, szlochając jak dziecko. Przykład podziałał tak skutecznie, iż wszyscy obecni poszli bez najmniejszego wahania się w ślad tego ich jakby dowódcy, ile że on rozpowiadał im z promiennym obliczem, iż nigdy w swem życiu nie zaznał takiego szczęścia i zadowolenia wewnętrznego."

Nie wiedzieć naprawdę, czy zdarzenie to nazwać cudem łaski Bożej, czy też cudem gorliwości Ks. Kaffasso o zbawienie dusz, Krwią Jezusową odkupionych.

Z życia zaś jego wśród młodzieży Bogu poświęconej, opowiada Ks. Bosko, co następuje: „W czasie letnich upałów Ks. Kaffasso zażądał pewnego razu szklanki wody. Przynoszę mu ją co żywo; on bierze w rękę i zbliża skwapliwie do spiekłych warg orzeźwiający napój. Wtem zadźwięczał srebrzysty głos dzwonka, wzywającego nas na wspólne odmawianie Różańca świętego. Na ten odgłos ręka jego wstrzymuje się nagle, jakby tajemniczą odepchnięta siłą i stawia na stoliku nietkniętą szklankę z wodą."

— Niechże Ks. Profesor wychyli, rzekę, zdążym jeszcze na czas!

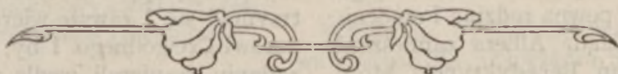
— Przenigdy; pierwej uczcić Matkę Boską, a potem uczynić zadość potrzebom naszym."

Nie heroizm-że to?

To też Marya nagrodziła sowicie tę synowską miłość swego sługi i prócz licznych łask niebieskich, jakiemi obsypała go hojnie za życia, zawezwała go do oglądania swej niebieskiej chwały w dzień sobotni, w szczególny sposób poświęcony czci Rajskiej Królowej.

Trzy dni przed ostatnią chorobą, odprawiwszy wedle swego nabożnego zwyczaju, odziedziczonego po nim przez Ks. Bosko i przekazanego swym synom, z wielkiem skupieniem ducha miesięczne ćwiczenie dobrej śmierci, uporządkował wszelkie swe sprawy doczesne i chętniej niż zwykle spędzał godziny w odosobnieniu, jakby przygotowując się do ciszy grobowej. Nie tak stanowczo usunął się jednak od ludzi, iżby nie dać posłuchu silnym naleganiom niektórych osób, proszących go o spowiedź. Myślą przebywał on jednak już więcej w niebie, niż na tym padole płaczu, co zauważyły i owe osoby, które spowiadały się wówczas u niego. Z każdego słowa jego tchnęła niewymowna tęsknota za niebieską ojczyzną; z rozżarzonej piersi wyrywały mu się raz wraz głębokie westchnienia, zdradzające jego gorące pragnienie połączenia się co rychlej z Najwyższem swem Dobrem. Gdy potem położył się do łóżka, a lekarze jednogłośnie oświadczyli, iż nie grozi choremu żadne zgoła niebezpieczeństwo, on dał jednak do zrozumienia swym przyjaciołom, iż nie podniesie się już nigdy z pościeli. Jakoż po kilku dniach, wbrew orzeczeniu lekarzy, tak podupadł na siłach, iż z ogromnym tylko wysiłkiem zdołał ledwo dosłyszalnym głosem wznieść tę oto do Boga modlitwę. — „Oto szybkimi kroki dążę do Ciebie, Panie, jedyne serca mego umiłowanie, pełen ufności w Twą dobroć nieskończoną; miłosierdzie Twoje bezgraniczne niech mi otworzy rajskie podwoje, tudzież pozwoli mi oglądać Cię przez całą wieczność twarzą w twarz, w gronie wybranych Twoich. *A za me przestępstwa i niewierności w świętej Twej służbie zatrzyj, ach! zatrzyj na zawsze pamięć o mnie na tej ziemi! Niechaj nikt nigdy słowem nie wspomni o jakimkolwiek moim uczynku, któryby mógł przyczynić mojemu imieniu poważania u ludzi; wszystko zaś, co tylko kiedykolwiek kto powie na mą niekorzyść i hańbę, odtąd już przyjmuję w pokorze serca i ofiaruję, jako zadośćuczynienie za moje grzechy.*" Potem skupił się w sobie tak głęboko, iż nie dawał najmniejszego znaku wrodzonej mu uprzejmości na słowa najzażylszych nawet przyjaciół. A gdy ci usunęli się, jął rozmawiać z niewysłowioną słodyczą z kimś niewidzialnym, co zauważywszy obecni, zaniechali podsuwania mu aktów strzelistych i innych nabożnych myśli, aby nie pozbawić go niebiańskich rozkoszy, malujących się delikatnemi barwami na jego, zimnym już potem zroszonem, obliczu.

I tak z rajskiem na ustach uśmiechem zasnął snem sprawiedliwych w sile wieku 49-cio letni ten mistrz sług Bożych, podpora i pocieszyciel nieszczęśliwych, niezmordowany pracownik w najbardziej zachwaszczonej części winnicy Pańskiej, nie zrażający się ani na dreszczem przejmujący wygląd mrocznych i wilgotnych podziemi więziennych, ani na mrożący krew w żyłach widok spadania głów skazańców pod śmiertelnymi razy katowskiego miecza; który zapominał o swoich potrzebach, byle tylko wyrwać z niedoli jakiego biedaka; który całe życie swe spędził na czynieniu dobrze bliźnim swoim i to nie dla zyskania sobie rozgłosu, sławy, bogactw, godności; lecz jedynie dla zyskania jak największej liczby dusz Chrystusowi Panu. Ostatniej jednak modlitwy jego, zaniesionej ze śmiertelnego łoża przed tron Najwyższego, Pan nie wysłuchał. Nietylko bowiem pamięć o nim żyje w tysiącach serc jego ziomków; nietylko dziadkowie opowiadają z uniesieniem swym wnukom, komu winni obecne szczęście domowego ogniska, kto nadał stanowczy zwrot błędnym ich krokom i naprowadził ich i pchnął na nowe tory życia, a potem podawał przyjacielską dłoń w trudnościach i niebezpieczeństwach, wspomagając jużto radą jużto czynem. Lecz nadto w niedalekiej przyszłości cały świat katolicki czcić będzie na Ołtarzach Czcigodnego już obecnie Sługę Bożego, księdza Józefa Kaffasso.



Najprzew. Ks. Albera w Anglii.



W wtorek po Wielkanocy Najprzew. Ks. Paweł Albera, generał Zgromadzenia Salezyańskiego, opuszczał dom macierzysty na Valdocco, aby swoją obecnością podnieść urok obchodów jubileuszowych 25-ciolecia założenia pierwszego zakładu Salezyańskiego w Anglii. U bramy żegnali czule swego Ojca i Opiekuna współbracia i wychowankowie, życząc szczęśliwej podróży i owocnej pracy.



LONDYN-BATTERSEA (Anglia) - Nowa kaplica Zakładowa.

Podróż ta od samego początku była pomyślną. W Chambéry na dworcu musiał się nieco zatrzymać. Potrzebę tę nie uniknioną wykorzystali tamtejsi Pomocnicy, Pomocnice i Dobrodzieje, aby pozdrowić i okazać swą cześć i przywiązanie do Następcy Czcig. Ks. Bosko i jego Zgromadzenia. Zebrali się licznie na dworcu, gdzie też hucznymi oklaskami i okrzykami powitali nadjeżdżający pociąg. Ks. Albera zatrzymał się przez ten czas przystanku z kochanymi Pomocnikami, którzy nie tylko słowami i zewnętrznymi oznakami okazywali swe zadowolenie, ale i czynem hojnej ofiary zaznaczyli, jak pragną prawdziwego i coraz pomyślniejszego rozwoju dzieł Czcig. Ks. Bosko.

Na dworcu paryskim oczekiwał Przew. ks. Alberę samochód, oddany łaskawie na jego wyłącznie usługi, przez pewną rodzinę Pomocników Salezyańskich. Ksiądz Albera zamieszkał tymczasowo w domu Pań Benedyktynek, które powodując się wrodzoną im delikatnością i uprzejmością, bardzo chętnie go przyjęły i oddały cały swój dom do jego rozporządzenia.

Tego samego dnia odwiedził kilku znaczniejszych i bardziej zasłużonych Pomocników, Przyjaciół i Wielbicieli dzieł naszych, jak n. p. adwokata Fliche, prezesa Rady Towarzystwa paryskiego Św. Wincentego a Paulo, obecnego przezesa rzeczonego towarzystwa p. Guénée i byłego prezesa Patronatu p. Dutey-Harispe.

Wieczór zaś poświęcił całkowicie Byłym Wychowankom, którzy w wielkiej liczbie przybyli do pałacu Pań Benedyktynek. Posiedzenie przeciągnęło się późno w noc, ku wielkiej uciesze i zadowoleniu zebranych, lecz nie mniej i ku wielkiemu utrudzeniu sędziwego księdza Albery, który całą poprzednią noc spędził był bezsennie w wagonie kolejowym. Dnia następnego, 11-go kwietnia, z rana złożył jeszcze kilka wizyt; po południu o godzinie 4-tej, wygłosił w kaplicy Pań Benedyktynek konferencyę do Pomocników i Pomocnic Salezyańskich. Kaplica przepełniona była słuchaczami, co tem bardziej jest podziwienia godnem, że był to czas majówek i masowego wyjazdu mieszkańców Paryża i innych miast, do okolicznych wiosek i pobliskich lasów. Wśród obecnych, wyżej wymienionych panów, znajdowała się jeszcze p. hrabina d'Eu, hrabia Mun, pp. Piou i wielu innych. Ks. Albera wyraził radość, przepełniającą jego serce na widok tylu przyjaciół Czcig. ks. Bosko i Jego dzieł. Opowiedział im, jako ten miłośnik młodzieży i całej ludzkości ustanowił Związek Pomocników w tym głównie celu, by mu nieśli pomoc moralną i materyalną w urzeczywistnieniu Jego zamiarów.

Miał on szczególnie na celu wyrwanie wielu wątpiących, czy ofiarność ich idzie rzeczywiście na dobro wspomożonych i czy przynosi skutki pożądane w Kościele katolickim. Obszernie i wymownie rozwinął pytania, nigdy dość nie objaśnione, co powinien czynić każdy Pomocnik i Pomocnica, aby rzeczywiście odpowiadać swemu powołaniu, swemu zadaniu. Nie zapomniał wskazać i zwrócić uwagi słuchaczów na wielkie zasługi i korzyści duchowne, które odnieść mogą wszyscy nasi Pomocnicy. Zakończył, zachęcając wszystkich obecnych, by mocno trzymali się i zawsze wiernymi pozostali sztandarowi Czcigodnego i by, odpowiadając swemu zadaniu, wspierali wedle możności i bronili od

wszelkiego niebezpieczeństwa zbożne dzieło odrodzenia ludzkości, zapomocą dobrego, religijnego wychowania młodzieży stanów średnich i niższych. Po konferencyi udzielił błogosławieństwa Przen. Sakramentem.

Nazajutrz rano Ks. Albera opuszczał miasto Paryż, ciężko bolejąc nad tem, że Synowie Ks. Bosko nie mogą nadal współpracować z tylu gorliwymi, którzy jedynie domagają się, aby ujęto w pewne tryby ich dobroczynność i pokierowano nią na dobro Kościoła św. katolickiego, na dobro ojczyzny i całego społeczeństwa.

Odczyty, deklamacye i śpiewy wieńczone burzami oklasków, zbyt wymownie okazywały zadowolenie wewnętrzne, serdeczne i synowskie uczucia ku Przedstawicielowi całego Zgromadzenia.

Na tej wyspie Salezyanie utrzymują zakład wychowawczo—naukowy dla kandydatów do stanu duchownego. Prócz tego obsługują trzy parafie i pięć kapelanii, z których każda ma swoje osobne oratoryum — kaplicę świąteczną dla młodzieży i dzieci. Ks. Albera zwiedził wszystkie, przemawiając wszędzie do zebranych parafian i Pomocników.



LONDYN-BATTERSEA (Anglia) — Odwiedziny Ks. Albery.

Oby Pan Bóg w swej łaskawości jak najprędzej usunąć raczył przyczyny zmuszające nas trzymać się zdala od tego pola pracy, tak wielce potrzebującego pomocy moralnej, pomocy duszpasterskiej.

Nakładając nieco drogi, czcig. nasz Przełożony odwiedził zakład La Chaumiere w Catel, na wyspie Guernesey, należącej do grupy malowniczych wysp Normandzkich. Przyjęcie było nader serdeczne. W sali przedstawień odbył się piękny wieczorek muzyczno-deklamacyjny, na cześć dostojnego Gościa i kochanego Ojca. Zakładowa szkoła śpiewacka wykonała z elegancyą piękną kantatę bretańską Thielemansa : « *les deux Bretagnes* ».

Przy obiedzie galowym wzięli udział Przewielebni księża, Ks. kanonik, wikaryusz generalny biskupa Porthsmouthskiego na wyspie Guernesey, Ks. proboszcz De la Rogerie, i wielu innych przyjaciół i dobrodziejów naszych, pragnących wyrazić w sposób najdobitniejszy miłość i wdzięczność dla głównego Przełożonego Zgromadzenia. Wieczorem odegrano z niepowszedniem powodzeniem sztukę « Le deux honneurs! » Zakończono artystycznem oświetleniem podwórza i całego frontu zakładu z ogniami sztucznymi.

*
* *

We środę, 17-go kwietnia, Ks. Albera w towarzystwie Ks. inspektora Scaloniego i Ks. Ma

ceya, dyrektora, wstępował w progi zakładu londyńskiego na Battersea. Dom cały ozdobiony w smukłe proporczyki, oświetlony wspaniale, chorągiew narodowa angielska, zatknięta majestatycznie na najwyższym szczycie wieży zakładowej, oznajmiała swoim powiewem całemu Londynowi, iż zakład przyjmuje w swoje mury upragnionego gościa. Dla braku czasu odroczono formalności przyjęcia na dzień następny. O godzinie w pół do ósmej ks. Albera odprawił mszę św. wspólną, śród gorących i nabożnych modlitw i kilku pięknie odśpiewanych, motektów. Przed komunią św. celebrujący zwrócił w Southwark, który przez dłuższy czas u siebie go zatrzymał i w dobie jeszcze wizytę oddał.

Powróciwszy, Ks. Albera zasiadł do obiadu w gronie dyrektorów i głównych przełożonych wszystkich zakładów londynskich. Odpowiadał na życzenia i wynurzenia uczuć, w tonie poufnym. Wspomniał na pierwsze początki dzieł Salezyańskich w Anglii i na różnicę stanu ich obecnego i stanu, którym cieszyły się przed 19-stu laty, kiedyto po raz pierwszy przybył do Londynu, przy okazyi poświęcenia kaplicy Najsłodszego Serca Jezusowego na Battersea. Szczególnie wyraźnie zaznaczył swoje życzenie,



GUERNESEY-CATEL — **Ks. Albera w gronie przełoż. i wychowanków.**

się do dziatwy i młodzi, przypominając im, jako Czcig. Ks. Bosko we swoich snach widział był młodzież i dzieci wszystkich stopni społeczeństwa, najrozmaitszych narodów i pokoleń, uciekające się pod opiekę Matki Wspomożycielki i znajdujące pod Jej sztandarem bezpieczne schronisko. O 9-tej urządzono przedstawienie o treści powitalnej. Ksiądz Albera podziękował, oznajmując równocześnie dla wszystkich studentów i rzemieślników zwolnienie od szkoły i pracy. Trzykrotne gromkie « hip-hip-hurrah » wyraźnie objawiło uczucia ułaskawionych zuchów zakładowych. Poczem udzielił audyencyi Ks. biskupowi Cartonowi, konclerzowi Archydyecezyi westministerskiej. Przybył on w imieniu J. Em. Kardynała Bourne. Tegoż dnia złożył wizytę J. Ekscelencyi Ks. Amigo, biskupowi by dzieło Zgromadzenia w Anglii doznało w przyszłem 25-cioleciu jeszcze pomyślniejszego rozwoju, aniżeli to było w ubiegłem. W piątek udał się do wielkiego przyjaciela naszego i Pomocnika J. Eminencyi Ks. Kardynała Bourne, który bardzo się ucieszył, widząc Ks. Alberę. Tego samego dnia zwiedził zaklad i parafię św. Maryi Magdaleny. W sobotę rano zaszczycił swoją obecnością misyę Polską św. Kazimierza. Kościół ten parafialny, przeznaczony dla polskich wychodźców, obsługują już od lat Salezyanie. Prócz pracy duszpasterskiej kwitnie tam i kaplica świąteczna dla dzieci i szkoła wieczorna języka polskiego i angielskiego dla starszych.

Przy sposobności poświęcono na cześć Matki Boskiej Wspomożycielki nową kaplicę zakładową na Battersea. Ceremonii dokonał Ks. Al-

bera; asystowali Przew. Ks. Scaloni, inspektor i Ks. Macey, dyrektór wspomnianego zakładu. W niedzielę Ks. Albera odśpiewał w nowopoświęconej kaplicy uroczystą Sumę.

Nie zapomniano też o Byłych Wychowankach. Zebrali się w liczbie bardzo pokaźnej w niedzielę po południu. Spędziwszy z nimi wesoło kilka godzin wśród przemówień, deklamacyi i śpiewów, Ks. Albera podziękował im za drogą pamięć o swych starych, ale zawsze czułych wychowawcach; polecił im, by i nadal, pamiętni zawsze drogocennych wskazówek, otrzymanych w młodych latach, żyli dobrze i cnotliwie. Tak bowiem jedynie uszanują swoją wiarę, uczczą swych wychowawców, zbawią siebie, rodzinę, społeczeństwo i dopomogą, wedle sił, do urzeczywistnienia codziennie wyrażanej prośby: « Przyjdź królestwo twoje » tu na ziemi, a szczególnie w przyszłem życiu, w niebie. Na pożegnanie udzielono błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem.

W ciągu następnych czterech dni Ks. Albera zwiedził nawicyat i studentat filozofii w Burwash, miejscu położonem nad cieśniną Dowerską, sławnem w historyi Anglii, gdyż tu wylądował Wilhelm Zdobywca. Stąd Ks. Albera udał się do Farnbourough, by ucieszyć swoją obecnością wychowanków tamtejszych szkół równouprawnionych z rządowemi, a przez naszych współbraci zaszczytnie prowadzonych. Zwiedził też i nasze szkoły parafialne, gdzie maluczcy uczniowie wszelkimi sposobami wyrazić mu zechcieli wdzięczność za opiekę i naukę, którą z trudnością gdzieindziej zdobyć by mogli. Na ostatku udał się do Córek Maryi Wspomożycielki. Przyjęły go z wielką czcią i okazałością. Nie długo jednak u nich zabawił, gdyż wołały go sprawy pilniejsze w Belgii. Powróciwszy raz jeszcze do Londynu, opuścił go na dobre wieczorem 27-ego kwietnia. Pożegnanie było bardzo rzewne i wzruszające, chociaż wcale nie smutne. Owszem z twarzy i ócz obecnych biły radość i wesele: każdy był uczynił, na co siły jego pozwoliły i co serce podyktowało, by uczcić należycie drugiego następcę Ks. Bosko, co też całkowicie wszystkim się udało. Ksiądz Albera odjechał: ale duch jego razem z duchem Czcig. Ojca i Założyciela i Ks. Michała Ruy unosi się nad owymi zakładami, napełniając wszystkich najlepszą otuchą do pracy dla chwały Bożej, błogosławiąc współbraciom, wychowankom i Pomocnikom.



FARNBOUROUGH (Anglia) — Przew. Ks. Albera w otoczeniu przełoż. i wychowanków.

Misye Salezyańskie.

Pierwsi Salezyanie

W KONGO BELGIJSKIEM.

List Ks. M. Saka.

Elizabethville, niedziela 12. listopada 1912.

Otóżeśmy na miejscu przeznaczenia wszyscy przy dobrem zdrowiu i pełni otuchy i najlepszej chęci do pracy. Celem niniejszego listu jest opisanie naszej podróży z Przylądku Dobrej Nadziej do Elizabethwille, jako najbardziej zasługującej na ogólną uwagę. A żeśmy uniknęli wszelkiej złej przygody i dobili szczęśliwie do nowej niwy, powierzonej naszym trudom, to po Bogu najwięcej zawdzięczamy żarliwym modłom, zanoszonym przed tron Najwyższego przez naszych współbraci.

Wyruszyliśmy z Kapsztadu, stolicy Przylądka, w piątek, 3° listopada. Tamtejszy Ks. dyrektor podejmował nas nader gościnnie i nie puszczał w żaden sposób; lecz, wobec wysłanego już poprzednio uwiadomienia p. gubernatorowi Katangi o dniu naszego przybycia na wyznaczony nam posterunek, nie podobna było zgodzić się na usilne nalegania gościnnego gospodarza, chociaż, nawiasem mówiąc, bardzo na czasie byłoby dłuższe wytchnienie, gdyż odczuwaliśmy już dotkliwie skutki kilkudniowej podróży. Pierwszy dzień jazdy pociągiem sprawił nam przyjemność: nowość krajobrazu bawiła oko, zmęczone jednostajnym widokiem gładkiej toni morskiej. Szczególną naszą uwagę zwróciło na siebie długie pasmo wzgórz, usiane bielejącemi zdala chatkami, odznaczającemi się ubóstwem. Niezwykły upał zdwajał dręczące nas pragnienie, a chciwe krwi żądła rojących się w wagonie owadów, uniemożliwiały wszelki spoczynek. Niebawem ujrzeliśmy liczne tabuny koni, stada bydła wszelakiego rodzaju, tudzież nieprzeliczone trzody owiec. Ruchome te plamy barwnie odbijały się na jasno-zielonej runi bujnych traw. Niedługo jednak cieszyliśmy się tym uroczym widokiem: stopniowa zmiana krajobrazu wskazywała na rychły wstęp w pustynną, górzystą krainę. Pociąg nasz zwalniał biegu coraz bardziej; posuwaliśmy się z wielkim trudem naprzód i mniemaliśmy, że wdzieramy się na szczyt góry Ans, słynnej wśród tubylców. Jakoż ze wszech stron piętrzyły się strome skały, których widok przejmował nas podziwem, ze zgrozą niemal graniczącym. Wszakże i tutaj nie zbywa na osobliwościach; między innemi podziwialiśmy na pewnym drugorzędnym przystanku szczególnie przybrane drzewo: na jego konarach, wśród latorośli o niezbyt bogatem uliścieniu, naliczyliśmy coś ośmnaście ptasich gniazd, o nader misternej budowie. Roślinność stawała się tu jednak coraz uboższą a nawet i drzewa na stokach wzgórz rzedniały i niknęły w miarę zbliżania się do Transwalu.

Wreszcie słońce skryło się poza zębate szczyty gór i znojny dzień listopadowy podzwrotnikowych krain, nachylił się ku końcowi. Tak byliśmy podnieceni myślami o przyszłej naszej siedzibie w tych niezbyt gościnnych dla europejczyka krajach, iż, mimo zmęczenia, spędziliśmy niemal bezsennie tę pierwszą noc. Przedziały naszego wagonu łączył wąziutki korytarzyk, co mniej jeszcze sprzyjało myśli o spoczynku, gdyż radziśmy się odwiedzali wzajemnie i dzielili osobistemi wrażeniami tego dnia.

O świcie zebraliśmy się społem na rozmyślanie, a gdy cienie nocy ostatecznie pierzchnęły przed złotemi promieniami jaskrawo wschodzącego słońca, roztoczył nam się przed oczy nowy widok. Na obszernej płaszczyźnie widnieją tu i owdzie rozrzucone bezładnie osady Boerów, obok których pstrzą się liczne stada kazuarów. Na razie wzięliśmy je za strusie, bo zresztą wzrostem swym i kształtem, dość się do nich zbliżają. Aliści nasz drogi Ks. Schillinger dał nam jeszcze raz dowód swej wyjątkowej biegłości w przyrodoznawstwie i odrazu wykazał, iż to biegawce — ale pletwonogi.

Czasem miknie miedzą cwałujący żwawo Boer; rzekłbyś, iż ma na celu uprzyjemnienie nam nudnego trzęsienia się w pociągu, gdyż to znika nam z oczu w gęsto paprociami podszytych czaharach, to znów odrzyna się pysznie od barwnego kobierca kwiecistych łąk, przerzynanych srebrnemi wstęgami wijących się wężem strumyków. Krajobraz tu bowiem bardzo niejednostajny: urodzajne o pszennej glebie

błonia, jałowe bez kosmyka trawy piaski i wydmy; nagie, najmniejszego kosodrzewu pozbawione góry, zbyt często następują po sobie. Nagle bieg naszych myśli inny wziął obrót. Widok maleńkiego wśród pól cmentarza, tudzież licznych mogił, wznoszących się tuż tuż przy obejściach zagrodników, przyprawił nas o istną walkę duchową; nietrudno odgadnąć jakie uczucia kołaczą wtedy do serca misyonarza, który wie, iż opuścił swych rodziców, ale nie wie, czy powróci jeszcze kiedykolwiek w swe progi rodzinne, by choć pomodlić się na grobie swych drogich. To też staraliśmy czemprędzej otrząsnąć się z tych myśli zdradliwych.

Niekiedy pociąg zatrzyma się w gołem polu; wtedy spoglądamy trwożnie po sobie, aż któryś z konduktorów, by nas uspokoić raz na zawsze, objaśni nam, że to osadnicy Boerzy wysiadają w miejscach najbardziej zbliżonych do swych zagród.

Palące nas pragnienie ugaszamy od czasu do czasu pomarańczami i jedziemy dalej przysłuchując się ciekawie nazwom przebywanych stacyi kolejowych. Zazwyczaj tkwi w nich pierwiastek imion boerskich, co nam zupełnie obojętne; niekiedy jednak żywiej zakołacze nam serce w piersi, a to gdy zabrzmi jakaś nazwa o pierwiastku flamandzkim: Klohfontein, Blokfontein, Bloemfontein, oto cały szereg imion tego rodzaju, których skład jasno wykazuje, że grody te powstały w miejscowościach skrapianych obficie przezroczystemi wodami tryskających tamże źródeł. Pod Kimberlejem zauważyliśmy kilka szybów kopalnianych: dobywająli tam złoto?

Sądząc z wyglądu okolicznych wiosek, rojących się ubogim ludem, a szczególnie umorusanemi w łachmanach dziećmi, które z błaganiem w oczach wyciągają ku przechodniowi rękę, trudno zgodzić się na to przypuszczenie. Pyszny dworzec kolejowy w samem mieście, o elektrycznem oświetleniu oraz wszelkich nowoczesnych wygodach, rażącą stanowi sprzeczność ze swem sąsiedztwem.

Afryka, toćto kraj rdzennie murzyński; dziwno nam tedy, że tak trudno ujrzeć tu można tubylca. Niegodne obchodzenie się z nimi białych przybyszów, przyprawiło ich o unikanie oka ludzkiego. Zbliżył się do nas pewien adwokat, Boer z krwi i kości, członek izby poselskiej w Kapsztadzie. Wyznał nam z pewną nieśmiałością, że on nie katolik, lecz mimo to serce jego bije dla nas życzliwie. Jakoż wręczył mi swą wizytówkę z adresem, dodając, iż mieniłby się szczęśliwym, gdyby nam mógł oddać kiedykolwiek jakąś przysługę. Objaśnił nam też, że w owych kopalniach w pobliżu miasta, o których była wyżej wzmianka, wydobywają wielką ilość dyamentów. Pracuje tam coś 16,000 murzynów, zmienianych co cztery miesiące. Jedynie po upływie tego czasu wolno im opuścić ową osadę górniczą, ogrodzoną szczelnie drutem kolczastym. Dzienna ich płaca wynosi 4 marki (2 ruble). Biedaczyska! czyż oni zasługują rzeczywiście na takie upośledzenie?

Nazajutrz dzień 5. listopada — niedziela. Po wspólnem rozmyślaniu odmawiamy sobie Różaniec i staramy się o nastrój ducha właściwy chrześcijaninowi w tym dniu pańskim. Upał wzmaga się w miarę postępowania słońca ku zenitowi a wciskający się do wagonu miałki kurz, każe wnosić, iż przebywany jakieś okolice długotrwałą snać trapione spiekotą; niekiedy oddychamy z trudnością, a na szatach naszych osiadła gruba warstwa tego pyłu, wskutek czego wyglądamy jak młynarze; kurz ten bowiem zupełnie podobny do stochmalu. Naraz wjeżdżamy do jakiejś wioski. Tuż przed chatą spostrzegamy kilka murzynek mieszących w ogromnych dzieżach ciasto z mąki maniokowej; w tutejszem bowiem klimacie uprawia się inne zboża. Wtem zbliża się do pociągu kilku murzynów z wiązkami piór ptasich w ręku. Podróżni kupują chętnie po kiści tego osobliwego towaru, by się otrzepać z kurzu. Przesuwa nam się też obraz kilku kobiet, dźwigających dzieci na plecach: niejedna pochyla się ku samej ziemi, gdyż kwili jej na plecach aż dwoje maleństw. O zmierzchu zakrwawiła niebo olbrzymia łuna: nie pożar to, lecz buchające wysoko płomieniem jaskrawym ogniska, oznaka uroczystego jakiegoś obchodu tubylców. Szczególne te sobótki obchodzono ku czci niejakiego Kajfoxa, murzyna, który zasłużył sobie na to u swych współplemieńców chybionym, na szczęście, zamachem wysadzenia w powietrze pałacu parlamentarnego w Londynie.

Na zaraniu zamajaczyły nam przed oczyma mury i wieżyce Mafekingu, tak głośnego z czasów ostatniej wojny boerskiej. Przy obliczaniu wypadło, że pozostawiliśmy za sobą 1075 belgijskich mil od Kapsztadu i że czeka nas jeszcze 2055-ciomilowa przestrzeń do przebycia. Jazda pociągiem w upalny dzień o wiele uciążliwsza od nocnej; to też wyglądamy z utęsknieniem zmierzchu. Przy bladem świetle lamp, szczególnie wygląda nasz przedział: na wieszadłach trzęsą się ustawicznie, na kształt pytlów, ubrania wszelkiego rodzaju; a gdy dodasz do tego wiszącą nam ponad głowami zasłonę, to zakrawa ten nasz wagon na jakąś fantastyczną pracownię krawiecką i bawi nas niemało. Niekiedy jednak aż ciarki nas przechodzą, gdy jakiś tłumoczek tylko co ma spaść na nos śpiącemu smacznie sąsiadowi. Łatwo pojąć, że niktby się nie odważył na dłuższą podróż drugą klasą. W pierwszej

mamy co prawda łóżka, ale gołe, i każdemu wolno wyobrazić sobie, jak to odczuwają nasze kości i boki! Możnaby tu dostać i pościeli za osobną opłatą: zbytki, których chętnie się wyrzekamy ze względu na nasz stan zakonny. Zresztą, przed wyjazdem z domu zaopatrzyliśmy się w kołdry i te służą nam za materace i pierzyny. A jeśli nawet dają się we znaki owe żelazne pręty, to nie śmie się nikt uskarżać, gdyż inni żartują sobie i dowcipkują wesoło z tych szczególnych południowo-afrykańskich puchów. To też niezadługo ustają półgłosowe gwary i błogi sen klei ociężale powieki. Czasem tylko zamruczy ktoś niecierpliwie przez sen, gdy silniejsze dygotanie pociągu, lub mimowolne potrącenie łóżka, przerwie mu pożądany spoczynek. Niektórzy jednak podróżnicy, nie odczuwający zmęczenia, rozkoszują się widokiem krajobrazów nocnych, tudzież lekkiem tchnieniem wiejącego od gór wietrzyka.

W poniedziałek 6. listopada o pół do siódmej rano stanęliśmy w Bulwago. Tu powitał nas uprzejmie jeden z miejscowych O. O. Jezuitów, którzy uprzedzeni od ks. dyrektora z Kapsztadu o naszem przybyciu, nie omieszkali zaprosić nas do siebie: Za co winniśmy im bardzo wielką wdzięczność, gdyż wypadło nam czekać na pociąg całe pół doby. Pokrzepiliśmy ducha odprawieniem Przenajświętszej Ofiary, a SS. Dominikanki, pochodzeniem z Salisbury, uraczyły nas z właściwą sobie gościnnością, sutem śniadaniem. Niemałą też radość i przyjemność sprawiło nam zwiedzenie ich zakładu, w którego murach otrzymuje wychowanie i kształci się umysłowo 200 z górą dziatwy; hałaśno tam na podwórku, jak w naszych zakładach, w chwilach wolnych od nauki.

Pożegnawszy ten gościnny dom, któremu pozostaniemy dłużni za tyle błogich uczuć, wróciliśmy do OO. Jezuitów. Tutaj podejmowano nas również z bratnią iście serdecznością a nawet pomyślano i o hojnem zaopatrzeniu naszych tobołków podróżnych. A nieobojętna to rzecz w tych okolicach, gdyż wobec stanowczej niemożliwości nabywania nadal artykułów spożywczych w pociągu, trudno wyżyć w sześciu o suchej kromce twardego chleba. Nie omieszkaliśmy też wyzyskać wolnych chwil na zwiedzenie miasta; wygląda ono dość okazale, a nie zbywa mu na żadnem z licznych dobrodziejstw społecznych, wygód i wykwintności. Pokrzepieni na duchu i wypoczęci po trudach męczącej podróży, z nowym zasobem sił puściliśmy się w stronę naszego pola pracy. Jeszcze kilka boerskich miast, a potem Kongo. Lubo słońce chyliło się już ku zachodowi, upał nie dozwalał nam wychylić głowy na świat Boży; przesycone żarem powietrze, nawet w znaczną część nocy nie dozwalało nam oka zmrużyć. Gdybyto jechać ot bez mitrężenia czasu, to przynajmniej oszczędzonoby nam nudów; ale gdzietam! Razwraz pociąg przystaje, gdyż psuje się tam coś u lokomotywy. Szczęściem, że od czasu do czasu zdarza się coś nowego do zobaczenia; a więc gromada Kafrów, wracająca od pracy w liczbie około stu: mówiono, że z tubylczych plemion afrykańskich, najpracowitszy to lud. Ledwom dokonał zdjęcia fotografii z tych barczystych potomków Chama, aż tu dochodzi mych uszu niezwykle ożywiona rozmowa od strony mojego przedziału; to jakiś urzędnik kolejowy wszczął był z mymi współbraćmi spór o nasze tłumoczki z żywnością. Przyśpieszyłem kroku by wybawić z kłopotu mych braci, gdyż, wobec ich nieświadomości języka angielskiego, trudno im przychodziło wytłumaczyć natarczywemu urzędnikowi, czemu aż pięć paczek żywności wieziemy ze sobą. Odrazu też dałem mu godną odprawę w jego języku; odszedł ze skwaszoną nieco miną, lecz, ofiarowane mu później przezemnie wyborne cygaro, przywróciło wnet pokój pomiędzy nami. Okolice tu zgoła bezwodne, a więc podróżni zabierają z sobą znaczną ilość wody, by od czasu do czasu odświeżyć podniebienie i przepłókać zapylone usta i gardło. Zrazu śmialiśmy się, gdy OO. Jezuici w Bulwago przygotowali nam byli trzy kubłaki wody; lecz teraz bylibyśmy cienko śpiewali, gdyby nie ta ich przezorność. Płótno zaś do przyrządzenia tych worków, ma tę cenną własność, iż utrzymuje w dość świeżym stanie swoją zawartość. Żywimy się tedy chlebem, powidłami, serem, pomarańczami i wodą; żołądki nasze odczuwają dotkliwie brak łyżki gotowanej strawy: ale co tu począć w takiej pustej okolicy? Bieda uczy rozumu, mówi przysłowie i święta to prawda. Rozmyślając nad tą naszą smutną dolą, jeden z nas wpada na szczęśliwy pomysł: biegnie z kociołkiem do lokomotywy, czerpie stąd gorącej wody i przyrządza na prędce kawę. Woń tejże rozchodzi się po całym wagonie i zwraca uwagę innych podróżnych na pomysłowość naszego kolegi; uraczyliśmy się jak w Boże Narodzenie.

Następnego ranka stanęliśmy w mieście Sakanii, na ziemi należącej już do Kongo. Co za miła niespodzianka! Zewsząd dochodzą nas rozhowory w języku ojczystym; tu i owdzie łopocą chorągiewki narodowe: chwilowo można było uledz złudzeniu, żeśmy w rodzinnym kraju, w Belgii. A co nas najbardziej ucieszyło, to wieść, iż nazajutrz o świcie będziem w Elizabethville. Mieszkańcy miasta Sakanii okazywali nam wielką życzliwość; niebawem wysłano zawiadomienie telegraficzne do Elizabethville o naszem przybyciu, a naczelnik stacyi kolejo-

wej dał nam przewodnika, któryby nas oprowadził po gmachach godnych widzenia i osobliwościach miejscowych. A ponieważ oglądaliśmy się z utęsknieniem za świeżą wodą, przewodnik zaprowadził nas do obficie bijącego źródła, gdzieśmy ugasili palące nas pragnienie. Przy powrocie wypadła nam ścieżka poprzez zarośla; przewodnik ostrzegał przed wężami, co nas trochę zdziwiło. A on na to: — Jest ich tu bez liku i to ogromne; niektóre dochodzą czterech metrów długości! — Aż nas mrowie po plecach przeszło na te słowa! Nie na tem koniec: powiedziano nam jeszcze, iż nocą łatwo tu napotkać takich gości, jak: hyeny, tygrysy a nawet i lwy. Właśnie przed kilku dniami zgłodniały lew porwał jakiegoś nieostrożnego murzyna. Poza tem miejscowość tu nader zdrowotna i wesoła: wszędy rozbrzmiewa język francuzki, a nawet od pewnego czasu weszły w obieg pieniądze belgijskie. Ujrzawszy zdala żołnierzy na mustrze przed koszarami, podeszliśmy nieco ku nim, by przypatrzeć się tym szeregom złożonym z tubylców. Ruchy ich zdradzają wielką biegłość w sztuce wojennej, a możeby sprostali i naszym białym szeregowcom, mimo mniejszej sprężystości, pochodzącej z wrodzonej powolności, właściwej ludom tych gorących krajów. Obecny tym ćwiczeniom kapitan, Belgijczyk, okazał nam wiele uprzejmości i zaprosił nawet na zwiedzenie koszar. Ujrzeliśmy tam godzien naśladowania porządek: w jednem skrzydle mieszkają sami tylko żonaci, a w drugiem bezżenni jedynie żołnierze. Spotkałem nawet dawnego kolegę z ławy szkolnej w osobie jednego z tutejszych podoficerów, utrzymujących w ryzie tych obrońców naszych kolonii; starszyzna ta odznacza się niepowszednią rzutkością umysłu oraz sprężystością w utrzymywaniu swych podwładnych w należytych karbach posłuszeństwa i karności; to też wojsko to wprawiło nas w podziw swą zwinnością i ledwośmy własnym oczom wierzyli, że to jeszcze półdziki lud. Lubo czas naglił, nie omieszkaliśmy wstąpić również do zbrojowni, gdzie wspomniany wyżej kapitan objaśnił nam pokrótce co godniejsze widzenia. Okazał on nam szczyt swej uprzejmości, gdy, mimo licznych nalegań z naszej strony, by tego nie czynił, odprowadził nas aż na dworzec kolejowy i tam zaznajomił nas z najpoważniejszemi osobami. Otóż i chwila odjazdu. Z żalem poniekąd uścisnęliśmy, może po raz ostatni, ręce osobom, którym tyle miłych zawdzięczamy wrażeń, i z tajoną w sercu radością i z niecierpliwością niemal spoglądaliśmy na pociąg, mający nas dowieźć do miejsca powierzonego naszej pieczy i trudom. Świsnęła przeraźliwie lokomotywa i oto zdąża szybko ku owemu miastu, nie tak jednak szybko jak nasze myśli. Wyobraźnia nasza buja sobie jak rozkiełznany rumak; o spoczynku ani myśleć. O świcie stanęliśmy na miejscu, lecz pociąg mieliśmy opuścić zaledwie o szóstej. Tylko co zdołaliśmy otrzepać się nieco z pyłu, aliści nadchodzą na nasze przyjęcie władze miejscowe wraz z księdzem proboszczem. Ten zaprasza nas do parafii, gdzie odprawiamy Msze św.; następnie udajemy się na śniadanie do plebanii, gdyż ks. proboszcz nie puszcza nas na żaden sposób. Wieść o naszem przybyciu rozbiega się lotem błyskawicy i ściąga tłumy ludu na powitanie przybyszów; osoby wszelkiego stanu zdawają się iść o lepszą w objawach uprzejmości względem nas, ze czcią niemal graniczącej. W lot pochwycono rzuconą przez kogoś myśl o zaopatrzeniu nas w najniezbędniejsze przedmioty na nowej siedzibie, a władze okazały niezwykłą gotowość na nasze usługi. Lecz oczy szukają z upragnieniem domu, przeznaczonego nam na pomieszkanie; niebawem zaspokojono życzenie nasze i w krótce znaleźliśmy się przed pięknym gmachem o pokryciu nie słomianem, jak



KONGO — Dom misyjny w Elizabethville.

większość tutejszych budowli, lecz z dachem blaszanym. Przekraczamy z bijącem sercem progi tego domu, aż tu zastajemy już nawet umeblowanych kilka pokoików; upatrujemy któryby z nich podatniejszy był na kapliczkę i przechodzim na stronę ogrodu. Tu spostrzegamy w pobliżu jakieś chatki: to chałupki dla mających nam pomagać murzynów. Po wypełnieniu niektórych formalności urzędowych, zajęliśmy się dalszem przyrządzaniem pomieszkania wedle wymogów naszego sposobu życia. Następnie udaliśmy się na dworzec kolejowy po zostawione tamże sakwy podróżne i tak nam zeszedł ten pierwszy dzień.

Dotychczas zachwycaliśmy się różami; niebawem miały okazać się i kolce. Zaznaczyłem już, iż w tych okolicach bardzo trudno o wodę: otóż okazało się, że nie mamy jej nawet tyle, ile potrzeba do odprawienia Mszy świętej, a cóż dopiero mówić o innych potrzebach tejże do życia! Na razie ks. proboszcz uspokoił nas, iż przyśle nam trochę wody cedzonej do ampułek; ale skąd tu wziąć jej do picia i do kuchni? Sam Pan Bóg wybawił nas z kłopotu, gdyż o zmierzchu rozpętała się gwałtowna burza: lało jak z cebra. Podsunęliśmy coprędzej kilka wanien i beczek pod rynny i niezadługo upragniona woda wypełnila je po same brzegi. A ponieważ nie zdołaliśmy jeszcze byli rozpakować i przyrządzić przywiezionych z sobą lamp, wypadło nam siedzieć poomacku w nowym domu. Wieczerzaliśmy tedy przy jaskrawym blasku błyskawicznych gzygzaków, popijając deszczową wodą suchy chleb, radząc o niezbyt wesoło zapowiadającem się jutrze. Burza przybrała rozmiary strasznego huraganu; huk piorunów uniemożliwił dalszą rozmowę a blask błyskawic rozdzierał nieprzebite ciemności naszego pokoiku: upusty niebieskie rozwarły się były snać na oścież, gdyż lało i lało bez końca. Burza ta, częsty gość w tych okolicach, nie wyrządziła nam żadnych szkód, owszem istnem ona dla nas była błogosławieństwem Niebios, zaopatrzyła nas bowiem w wodę na kilka dni. Wreszcie owładnęło nami bezbrzeżne znużenie i udaliśmy się na spoczynek, podziękowawszy wpierw serdecznie Bogu za szczęśliwie przebyty dzionek na nowem polu pracy. Nazajutrz, wypoczęci dostatecznie, odprawiamy Msze św. w domowej już kapliczce. Gdy właśnie kreślę te słowa, dochodzi mych uszu jakiś głuchy łomot, jakby toczącej się wartko po stokach górskich lawiny i druzgocącej wszystko przed sobą; potem straszny huk targnął powietrzem. Zrywam się na równe nogi i pędzę co tchu w stronę owego grzmotu: to olbrzym, dziaduś naszego lasku, kilkuwiekowy o potężnych a omszałych już konarach dąb, runął tak hałaśliwie. Okazało się, iż mocno nadpróchniały pień stoczyły mrówki, a wczorajszy huragan dopomógł mu też niemało. Oglądamy i podziwiamy to drzewo, aż w jednej z dziupli zoczyliśmy niezwykłej wielkości nietoperza. Warto tu nadmienić, iż mrówki tutejsze dochodzą calowej niemal długości, a sypią sobie takie mrowiska, jak stóg siana więcej, niż średniej wielkości. Dziś rano zawitały, nieproszone, do nas w gościnę, by podzielić się resztkami zapasów z podróży. Uszanują one w przyszłości naszą śpiżarnię?

Wracam do rzeczy. W sobotę popołudniu, mimo dżdżystej pory, postanowiłem wychylić głowę poza dom, by złożyć wizytę ks. proboszczowi. Przyjął on nas z otwartemi rękoma i uraczył nawet lodami, które mimo słoty, bardzo były na czasie, bo upał nielada. Nie do uwierzenia niemal ta osobliwość, że idą tu w parze skwary z opadami atmosferycznymi. Jako środka zapobiegawczego przeciw zgubnym skutkom tutejszego podniebia, jęliśmy się chininy. Resztę dnia spędziliśmy na rozpakowywaniu skrzynek z naczyniami do codziennego użytku; wiele szkody dostrzegliśmy w naszych kufrach. Znużeni do żywego, udaliśmy się na spoczynek, zabezpieczywszy się poprzednio od natręctwa owadów rozpięciem ponad łóżkiem tkaninowej siatki. Kreślę te wyrazy przy bladem światełku świeczki, a lubo mi to trudnawo przychodzi, nie wypuszczam pióra z ręki, bo chcę dokończyć tego listu, gdyż jutro nie będę miał wolnej chwilki.

Trzeci dzień naszego tutaj pobytu — niedziela. Po Mszy św. i rozmyślaniu, czeka nas niezwykłe śniadanie. Wczoraj kupiliśmy sobie funt kawy, a będzie dobra, bo kosztuje bez mała trzy marki, rubel z górą! Trąci to wprawdzie zbytkiem, ale należało przecież wzmocnić wycieńczone siły; a nadto dzień to pamiętny, bo zaznacza rozrost o jeden listek gałęzistego już drzewa Zgromadzenia Salezyańskiego.

Dziś z rana dostrzegłem przez otwarte okno kaplicy jakiegoś policyanta z kapeluszem w ręku, łączącego swój głos z naszym, w czasie odmawiania modlitw porannych. Nie zważając na jego hebanową cerę — tu bowiem murzyni pełnią tę służbę a odznaczają się pono nieposrednią w niej gorliwością — wprowadziłem go do kaplicy, gdzie wysłuchał w budującem skupieniu aż trzech Mszy świętych. Na widok jego przykładnej pobożności serca nasze uradowały się wielce, gdyż przybyliśmy tu właśnie w tym celu, by przysporzyć liczby tych gorliwych wyznawców Chrystusa. Po ukończeniu nabożeństwa zaprosiłem go na śniadanie, co nadzwyczaj dodatnie na nim sprawiło wrażenie; pożegnawszy nas, umiejscowił się na podwórzu tuż przed naszym domem i odbywał dalej swą straż z wielką

czujnością. To nas zabezpiecza przed jakimikolwiek zakusami ze strony nieżyczliwych ludzi.

W poniedziałek — idąc za wskazówkami ks. proboszcza — postanowiliśmy zacząć wpis chłopców do przyszłej naszej szkoły. Nikt nie nazwie nas gorączkami, jeśli dodamy, że tutaj protestanci wchodzą nam w drogę i chcą zagarnąć do swych heretyckich szkół miejscowe dzieci. Niedoczekanie ich jednak, bo, chociaż nie posiadamy jeszcze gmachu szkolnego, nie zawahamy się atoli zgromadzać dzieci i pod gołem niebem, byle tylko nie dać im wpaść w kacerskie szpony. Życzliwe usposobienie ks. proboszcza, tudzież i sprzyjanie władz, słodzi nam wszelkie trudy i owocną obiecuje pracę.

Wczoraj jeden z naszych braciszków zasiał trochę sałaty, skopawszy pierwej ziemię jakiemś nawpół zardzewiałem narzędziem, znalezionem gdzieś na podorędziu, a pozostawionem zapewne przez dawnych mieszkańców domu. Dają nam się we znaki muchy, których tu bez liku i to wszelkiego rodzaju, najrozmaitszych kształtów, rozmiarów i zjadliwości. Zauważył też któryś z naszych, iż tutejsze kanarki śpiewają jednostajnie; nie zbywa nam również i na niezbyt miłej muzyce świerszczej oraz innych owadów nocnych; pocieszamy się atoli myślą, iż do wszystkiego z czasem można przywyknąć! — Nabyliśmy trochę zapasów żywności, ot po jakich cenach. Centnar metryczny ziemniaków kosztuje 100 marek z okładem — 60 rubli; butelka piwa — 4 marki — 2 ruble; litrowa flaszka wina — 3 marki — 1 ½ rubla; funt kawy niepalonej, na poły z żołędziami — 3 marki; funt chleba — 1 markę — 38 kopiejek. W Londynie bodaj taniejby tych rzeczy dostał, a nas tu sześciu!... Najęliśmy sobie kilku murzynów do pracy w ogrodzie i posługi w domu, a płacimy im po 18 marek, niemal 8 rubli — miesięcznie. Jeżeli tu łatwo o co, to jedynie o burze. Wszędzie one nabawiają trwogi, ale tutejsze to już zgoła przyprawiają o zawrót głowy; taka ich groza i okropność! Dziś ciepłomierz wskazuje 32 stopnie gorąca w cieniu: to mi listopad!

Prosząc o wybaczenie licznych usterek tego na prędce skreślonego listu, polecam się wraz z towarzyszami mej doli życzliwej pamięci współbraci u stóp Niebieskiej Wspomożycielki i kreślę się z uczuciem głębokiego szacunku pokornym sługą w Chrystusie Panu

Ks. JÓZEF SAK,
Misyonarz Salez.

Wspomnienie pośmiertne o starym Kónie,

SZCZEPU ONASÓW.

Zmarły niedawno temu Córnu-Kón — lekarz-czarownik, Adam — był najstarszym ze wszystkich Indyan, znanych w Ziemi Ognistej i spokrewniony prawie ze wszystkimi, bądźto ze strony swej rodziny, bądź też ze strony swych żon, których pojął aż trzy, jedną po drugiej. Jakoś dziwnem i ciekawem było wszystko w tym Adamie, nawet to, że pierwsza jego żona nazywała się Ewa!

Liczył on coś osiem krzyżyków i zawsze cieszył się czerstwem zdrowiem. Uważany był i to słusznie, za biegłego lekarza i za czarownika bardzo potężnego. Toteż wszyscy obawiali się go i czcili równocześnie jako kacyka głównego; siła zaś jego fizyczna wprost zadziwiająca i wzrok pewny i ścinający krew w żyłach przeciwników, niemało służyły mu do utrzymania zdobytego pierwszeństwa.

Ledwo poznał misyonarzy Salezyańskich, zawarł z nimi wieczystą przyjaźń i przebywał stale, jużto w osadzie misyi Najśw. M. P. Gromnicznej, jużto w osadzie św. Rafała. Po otrzymaniu chrztu św. wyrzekł się i zaniechał swego rzemiosła czarnoksiężnika i jedynie za pomocą środków naturalnych, na których znał się dobrze, leczył nadal chorych swych pacyentów.

Mimo swej brzydkości i srogości twarzy był nader sympatyczny, wesół zawsze i żartobliwego usposobienia; to też powszechnie był nietylko postrachem, ale i ulubieńcem swych współziomków i znajomych. Pamiętam, jakby dziś, pierwsze nasze spotkanie przed dwudziestu przeszło laty.

Bawiłem wtedy w osadzie Najśw. M. P. Gromnicznej. Wyszedłszy z domu, by obejść nieco poblizkie szałasy i toldos, zwróciłem swe kroki ku wybrzeżom morskim. Wtem nadchodzi od morza mój Adam. Wyglądał też prawie jak ów pierwszy Adam; wszakże różnica ubioru jednego i drugiego, sama w oczy się rzucała. Pierwszy bowiem nosił u bioder przepaskę uplecioną z liści figowych, a drugiemu za zasłonę służyły złowione ryby! Wiadomo nam już, w jaki sposób Onasowie łowią ryby. Gdy morze odpływa mniej więcej na kilometr, pozostawia w zagłębiach i kałużach wiele ryb, najwięcej tak zwanych bagniskowych, bez łusek, brzydkiego wyglądu, lecz o bardzo smacznem mięsie. Brodząc tedy po tych kałużach, bosakami zabijają swoją zdobycz i nanizują na rzemienie ze skóry foczej i przepasują się tym pasem ryb, zwieszonych ogonami na dół. W takim to stroju nowy mój znajomy, podpierając się na swoim bosaku, szedł mi na przeciw, wołając:

— Daj mnie chleba, a ja dam tobie ryb!

Zawróciłem więc z nim do misyi i zamieniłem kilka bochenków chleba za tyleż ryb. Po tej wymianie, ucieszony i zadowolony, poszedł do swego szałasu. Od tego dnia byliśmy najzażylszymi przyjaciółmi. Widząc mnie, przychodził podskakując z zadowolenia, a klepiąc mnie poufale w plecy i szczypiąc lekko w policzki, mawiał: — „*Io-ho pen olce* — mój dobry i piękny przyjacielu!"



Wśród Onasów: Stary Córnu Kón † 23. IV. 1912 r.

Za młodych lat musiał on przeżyć wiele przygód, burz i bitew, gdyż ciało jego było napiętnowane tylu bliznami, żebyś ich i na wołowej nie spisał skórze. Jeszcze kilka zaledwie lat temu, przybył z jakiejś leśnej wycieczki z twarzą zranioną. Ranę tę zadał mu strzałą pewien Indyanin, który zamierzał uprowadzić mu jego żonę. Opowiadał on sam, jako ów człowiek był bardzo zły i silny i, że długo musiał się z nim pojedynkować zanim zdołał go pokonać. Pobiwszy swego przeciwnika, ukląkł z odzyskaną żoną na ziemi i oboje odmówili jedno „*Ojcze nasz*" na podziękowanie za odniesione zwycięstwo. To dowodzi wielkiej jego religijności i pobożności. Prowadził on w samej rzeczy życie bardzo dobre, a przykładem swoim i sławnem imieniem wielce się przyczynił do rozpowszechnienia wiary naszej świętej wśród tutejszych mieszkańców. Przystępował często do Sakramentów świętych; ostatni raz zdarzyło się to w dzień Wielkanocy i w następną niedzielę.

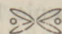
Dwunastego kwietnia, pracując w polu, został rażony paraliżem w cały lewy bok i pozbawiony wszelkiej mocy poruszania się. Zarządziłem, by przeniesiono go do domu i, na jego żądanie, udzieliłem mu ostatnich Sakramentów. Żył on jeszcze aż do 23-go kwietnia w ciągłem prawie konaniu. Był zawsze przytomny i ciągle uśmiechnięty w swych srogich cierpieniach. Sam odmawiał modlitwę Pańską i pozdrowienie Anielskie i prosił obecnych, by się modlili za niego. Zasnął po niezmiernych cierpieniach, znoszonych z cierpliwością nieprzebraną, śmiercią sprawiedliwego. Pogrzeb wyprawiliśmy mu wspaniały, a nowy krzyż, wzniesiony na jego grobie, przypomina nam wszystkim, iż starzy i młodzi, dobrzy i źli, wszyscy spłacimy dług zaciągnięty przez grzech pierworodny. Szczęśliwi ci, co tak będą mogli przedstawić się Boskiemu Sędziemu, jak stawił się nasz opłakany przyjaciel Kón.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen.

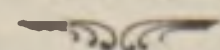
Ks. Maggiorino Borgatello,
misyonarz Salezyański.

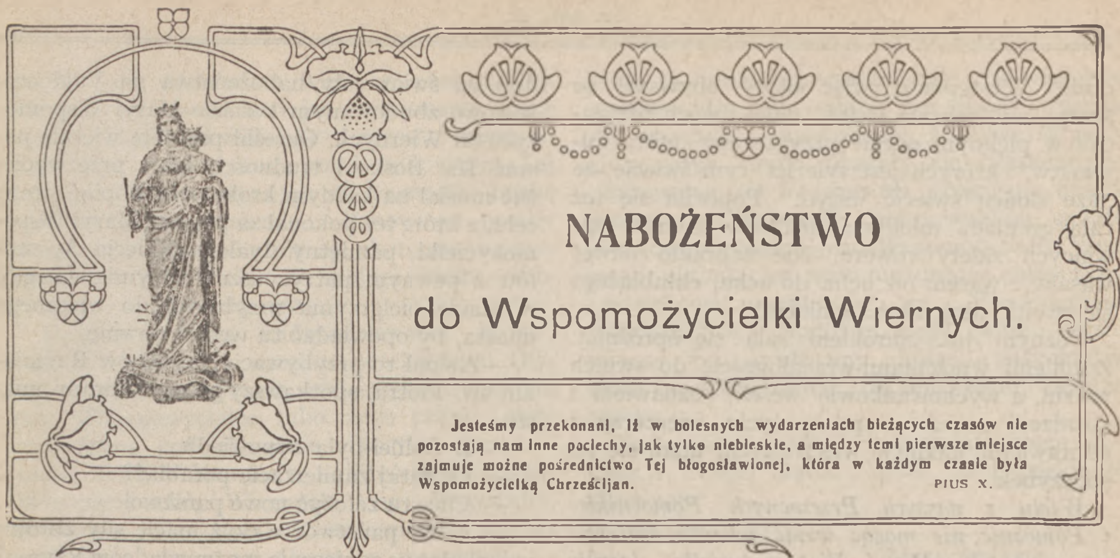
Myśli i Zdania Czcig. Ks. Jana Bosko.

Pan Bóg nas zapewnia, że jałmużna jest najskuteczniejszym środkiem do otrzymania przebaczenia grzechów, znalezienia miłosierdzia u Boga i dojścia do żywota wiecznego.



Przed przystąpieniem do Komunii św. zastanówcie się chwilkę nad tem, kogo macie przyjąć. Jestto Jezus Chrystus. Bóg niezmiernej wielkości, nieskończonego majestatu, Bóg niewyczerpanej dobroci i miłosierdzia, który zstępuje do nędznego stworzenia, do ubogiego grzesznika; a zstępuje na to, aby mu być ojcem, bratem, przyjacielem, i oblubieńcem duszy, lekarzem, mistrzem i pokarmem. O, dobroci! O, miłości! O, miłosierdzie Boga naszego!





NABOŻEŃSTWO
do Wspomożycielki Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan. PIUS X.

OŚWIĘCIM. — Uroczystość Najśw. Panny M. Wspomożycielki Wiernych — Pięknie naprawdę spędzili wychowankowie zakładu Oświęcimskiego miesiąc maj, tembardziej, że nabożeństwo do Matki Boskiej u chłopców ma swój szczególny charakter szczery, naiwny, a wypływający z głębi prostego serca młodzieniaszka.

Codziennie rano głos trąbki, na której z wieży zakładowej jeden z naszych młodych muzyków wygrywał hejnały ku czci Królowej Niebios, budził ze snu dziarską młodzież. Wieczorem uroczyste nabożeństwo majowe u stóp obrazu Wspomożycielki, oblanego rzęsistem światłem lamp elektrycznych, z krótkiem, praktycznem kazaniem Ks. katechety, z litanią Loretańską, śpiewaną na g osy i z błogosławieństwem Przenajśw. Sakramentu, podnosiło nastrój i rozniecało w sercach młodzieńczych coraz większy ogień miłości ku Najświętszej Bogarodzicy.

Na samą uroczystość Maryi Wspomożycielki, przypadającą w tym roku na dzień Zielonych Świątek, 26-go maja, spodziewaliśmy się pogody, a wskutek tego i owych tysięcy gości i pielgrzymów, przychodzących częstokroć z daleka, by oddać hołd Tej, która zawsze była Wspomożycielką Chrześcijan i Pocieszycielką strapionych. Jednakże, co do pogody, nadzieja nasza spełzła na niczem, albowiem niebo zaciągnęło się chmurami i przez kilka dni padał deszcz tak, że poblizka Soła znacznie wezbrała i rozlała się szeroko na obszerne okoliczne pola. Mimo to wierni zebrali się licznie w sam dzień uroczystości: świątynia była przepełniona po brzegi. Rankiem o godzinie 6-tej msza św. z Komunią generalną, podczas której wychowankowie wszyscy przystąpili do Stołu Pańskiego. O ósmej Wotywa z konferencyą, mianą przez Ks. Dyrektora zakładu do Pomocników i Pomocnic Salezyańskich na temat: Najśw. Marya Wspomożycielka i działalność społeczna Czcig. Ks. Jana Bosko. Suma uroczysta odprawiona przez Przew. Ks. Piotra Tironego, Prowincyała domów Salezyańskich w Polsce, rozpoczęła się o w pół do jedenastej. Podczas Sumy wygłosił piękne kazanie Przew. Ks. Jacaszek, katecheta z Liszek pod Krakowem. Przemawiał do nabożnych słuchaczy ciepłemi słowy, zachęcając wszystkich do czci i nabożeństwa do Wspomożycielki Wiernych, popierając swoje wywody przykładami z historyi kościelnej.

Chór śpiewaków zakładowych pod umiejętnem kierownictwem Ks. Dr. Antoniego Chłondowskiego wykonał mszę Edera na dwa głosy mieszane; natomiast Introit, Graduale, Offertorium i Comunio na cztery głosy, kompozycyi Ks. Chłondowskiego, Sekwencyę Griesbachera, tudzież kilka pieśni do Matki Boskiej Ks. kanonika Walczyńskiego.

Po południu kapela zakładowa zabawiała gości i pielgrzymów swoimi dźwiękami, przyczem goście gromadami zwiedzali zakład, warsztaty, szkoły itd. Uroczyste nieszpory odprawiono o godzinie trzeciej z litanią Loretańską na cztery głosy mieszane Ks. Chłondowskiego, odśpiewaną przez gremialny chór wszystkich 250-ciu wychowanków, kończąc je uroczystem błogosławieństwem.

A teraz do teatrzyku! Zebrali się tam wszyscy wychowankowie i sporo gości. Przedstawiono dramat trzyaktowy p. t.: „Dzieci w jaskini zbójców." Przerwy urozmaicała orkiestra zakładowa i występy kilku wychowanków z wesołymi śpiewami i z zabawnymi kupletami. Treść ich żartobliwa z pewną dozą niewinnej i delikatnej satyry, ubrana przytem w formę pięknych melodyi, ubawiła wszystkich serde-

cznie. Występował więc otyły obywatel ze skargą na „zepsuty świat,“ dalej dwóch przyjaciół w pięknym duecie przytaczają „fakta fałszerstw,“ których jest tyle na tym świecie, że „aże słońcu świecić wstyd.“ Pojawiła się też cała gromada młodych amatorów sportu, sławiących zalety roweru. Nie zabrakło nawet wąsala, z wąsem od ucha do ucha, chlubiącego się swoim „dojrzałości makiem!“

Późnym już zmrokiem sala się opróżniła. Z miłemi wrażeniami wracali goście do swoich rodzin, a wychowankowie weseli, rozbawieni i strudzeni zarazem, po spożyciu wieczerzy i odprawieniu modlitw wieczornych, udali się na spoczynek.

Wielu z naszych Przezacnych Pomocników i Pomocnic, nie mogąc wziąć udziału osobiście w uroczystości Maryi Wspomożycielki, łączyło się z nami duchem w wspólnym hołdzie dla Królowej Niebios. Z tej właśnie okazyi otrzymaliśmy od „Szan. Czytelni Katolickiej“ następujący telegram: „Z powodu wzniosłej uroczystości Przenajświętszej Panny Maryi Wspomożycielki Wiernych, Czytelnia katolicka, polska w Krakowie, Pomocnica salezyańska, śle serdeczne Szczęść Boże.“

Dr. K. Lubecki — Prezes.
Stroka — Sekretarz.

IVREA. — Przygotowania na tę uroczystość Matki Boskiej Wspomożycielki postępowały dość raźnym krokiem, z wyjątkiem ostatnich dni, które z powodu nieustannych deszczów pracę naszą utrudniały. 2-go czerwca do dnia jeszcze lało jak z cebra. Myśl nasza połączona ze szczerą modlitwą, żywiej niż kiedykolwiek unosiła się w przestworza nieskończoności, ku naszej ukochanej Matce, Pocieszycielce utrapionych.

Mszę św. wspólną celebrował z rana o godzinie 7½ inspektor Ks. Emanuel Manassero. Uroczystą Sumę odśpiewał Przew. Ks. kanonik Michał Gnavi z Ivrei. Tymczasem ku niezmiernej naszej uciesze deszcz ustał zupełnie, a po niejakim czasie słoneczko igrało wesoło na sklepieniu niebieskiem. Lekki wietrzyk obsuszył roślinki i uwolnił je od kroplistych ciężarków. Około drugiej po południu zaszła zupełna zmiana w przyrodzie. Rośliny i kwiaty pod wpływem ciepła podniosły swe ociężałe i ospałe główki i rozwijały się, napełniając całe otoczenie przecudną wonią.

Nieszpory odbyły się o piątej po południu, na które wiele przybyło ludzi z miasta i z okolicznych przedmieści. Na obliczach przybyłych wyczytać mógłeś nieograniczoną radość i zadowolenie. Zaraz po nieszporach wystąpił z kazaniem Ks. kanonik Gnavi. Przedstawił on na żywo pierwsze początki, rozpowszechnionego dziś na świat cały, nabożeństwa na Valdocco, w nowo zbudowanym kościele Maryi Wspomożycielki Wiernych. Określił przytem wiernie postać Ks. Bosko i trudności, jakie przezwyciężać musiał na każdym kroku, aby dopiąć swego celu, a które też pokonał za pomocą Maryi Wspomożycielki, pamiętny dyalogu Księcia Apostołów z pewnym patrycyuszem Rzymianem, gdy w szacie pielgrzyma przybywał do wiecznego miasta, by opowiadać tu wesołą nowinę.

— A skąd to przybywacie? pytał ów Rzymianin św. Piotra, spotkawszy go pod murami miasta.

— Z Galilei-była odpowiedź.

— Co tutaj zamierzacie porabiać?

— Chcę tu założyć nowe państwo!

— Nowe państwo? a czyż macie siły zbrojne i pieniądze na zgniecenie możnowładców Rzymu?

— Nie, niemam nic!

— A więc czem chcecie zdobyć, obalić istniejący Rzym? może waszym kijem, który trzymacie w ręce? Zmierzywszy św. Piotra wzrokiem politowania, jakiem darzy się osoby chore na umyśle, oddalił się, kręcąc głową i nie czekając nawet odpowiedzi.

Omówiwszy obszernie przyczyny, które nakłoniły księdza Bosko do obrania za szczególną Patronkę swych dzieł Maryę Wspomożycielkę, kaznodzieja zakończył, nadmieniając o wielkich zasługach, które mogą uzyskać Pomocnicy Salezyańscy, współpracując z nimi dla dobra młodzieży.

Po kazaniu odbyła się procesya, wśród winnic naszego ogrodu. Z powrotem, udzielił błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem prowincyał Ks. Manassero.

Czarującem było przy pogodnem wieczorze artystyczne oświetlenie groty Matki Boskiej, przy którem wiele zręczności i smaku piękna okazał rodak nasz kl. Jędrzej Szajca. Podziwiając to przecudne oświetlenie, śpiewano rozmaito-językowe pieśni ku czci Matki Najświętszej, a na zakończenie uroczyste „Wielbij duszo moja Pana.“

Łaski Maryi Wspomożycielki.

Przez lat 15 pracowałem na kolei żelaznej. Wszakże praca ponad siły stargała mi doszczętnie zdrowie tak, że dłużej na stanowisku moim wytrwać już nie mogłem. Przeróżne dostarczane mi leki nie skutkowały. Prośby zaś o oddanie mnie do prac lżejszych lub o rentę, były grochem o ścianę rzucanym, owszem, wystawiły mnie na wiele nieprzyjemności i przykrości. W tak smutnem położeniu przychodzi mi szczęśliwa myśl udania się do Wspomożycielki

po ratunek. Zamawiam więc nowennę u XX. Salezyanów, postanawiając otrzymaną łaskę ogłosić we „*Wiadomościach*" i przesłać ofiarę na mszę św. dziękczynną przed cudownym Jej obrazem. Wspomożycielka nie zawiodła! Łaskę niebawem otrzymałem!.... Ponowione prośby u lekarza tą razą okazały się skuteczne i przyniosły mi, mimo młodego mojego wieku, emeryturę, a z nią i całą rentę.....

Doprawdy łaska nadspodziewana, hojna; łaska przechodząca wszelkie oczekiwania! Dlatego przejęty najgłębszą wdzięcznością, składam dziś Wspomożycielce, lubo nieco późno, moje najgorętsze podziękowanie i posyłam przyrzeczoną ofiarę, wskazując tę najlitościwszą Matkę, Wspomożycielkę Wiernych tym wszystkim, co cierpią, co jęczą pod ciężarem niedoli i kajdan niniejszego życia, co płaczą w rozpaczy!....

Imielin (Górny Śląsk). 23-V-1912.

JAN KOSMA.

*
* *

W r. 1908 byłem ciężko chory tak, że lekarze wysyłali mnie do krajów południowych, bo już zwątpili o mojem wyzdrowieniu. Ja tymczasem w tym roku miałem zdawać egzamin państwowy. Udałem się przeto w potrzebie do N. P. Maryi Wspomożycielki i zostałem wysłuchany! Lekarze leczyli mnie przez trzy kwartały i nie mieli nadziei uleczenia, mimo, że rodzice otaczali mnie troskliwą opieką i nie żałowali pieniędzy na najlepszych lekarzy i aptekę; ale gdy udałem się o pomoc do N. P. Maryi W. W., wstałem z łóżka po dwóch miesiącach, a nadto zdałem egzamin! Ślubowałem wtenczas, że na pamiątkę cudownego uleczenia co roku w miesiącu maju złożę datek na mszę dziękczynną. Od tego czasu mija już rok trzeci, ja po raz pierwszy posyłam datek na mszę, rok bowiem pierwszy zarabiam. Wszakże już wówczas to przewidując, ślubowałem, że jeżeli jednego roku nie będę miał pieniędzy, postaram się na rok przyszły o dwie, na rok trzeci o trzy msze i. t. d. Dlatego obecnie proszę o odprawienie mszy dziękczynnych trzy, za trzy lata.

Równocześnie proszę o stałe zasyłanie modłów na moją intencyę do N. P. Maryi W. W., a będę zawsze, w miarę możności, pamiętał o zakładzie Salezyańskim w Oświęcimiu. Ślubowałem bowiem, że jeśli Wspomożycielka ustrzeże mnie od pokus, jeśli prowadzić mnie będzie po drodze cnoty, jeśli zachęci mnie do pracy i zgotuje dobrą śmierć, będę co miesiąca posyłał dożywotnie na cele Salezyańskie 10 K.

X*, 23-V-1912.

JÓZEF BORZĘCKI.

*
* *

Syn mój 9-letni w jednej chwili dostał tak uporczywego kaszlu, iż zanosił się od niego przez 15 minut bez wytchnienia i najmniejszej przerwy. Do tego osłabł, pot zimny wystąpił mu na czoło i zdawało się, że życie skończy. Gdy różne środki okazały się bezskuteczne, ofiarowałem go P. Jezusowi, trzeci raz upadającemu, w Kalwaryi Zebrzydowskiej cudami słynącemu i Matce Jego Wspomożycielce Wiernych, ślubując w razie uratowania chłopczyny, podziękować publicznie we „*Wiadomościach Salezyańskich.*" Modlitwa moja została wysłuchana, bo gwałtowny kaszel natychmiast ustał, a synek usnął; poczem wstał zupełnie zdrów.

Za tę więc i za wiele innych łask niech Ci, o Jezu i Twojej Matce Najśw., będą dzięki nieskończone!

Pisarzowa, 24-V-1912.

JÓZEF SERAFIN,
strażnik kolejowy.

*
* *

Byłem wielkim grzesznikiem. Nie pomagały mi ni kazania ni spowiedzi: byłem niepoprawny. Nie mogąc od nałogowych uleczyć się wad, udałem się do cudownej Matki Najśw., Wspomożycielki w Oświęcimiu, prosząc tamtejszych XX. Salezyanów o odprawienie nowenny. Początkowo nie przynosiło mi to żadnego skutku, ale skoro poszedłem do św. Spowiedzi, doznałem wielkiej łaski. Granitowe filary nałogów zostały wstrząśnięte, zachwiały się i runęły, rozsypując się w kupę gruzów i pyłu. Przejęty bowiem serdecznym żalem, szczerze się wyspowiadałem i zmieniłem życie. Odtąd zdrowie duszy mojej powoli mi wraca.

Posyłam za to skromną dziś ofiarę na cele Salezyańskie, jako hołd dziękczynny, złożony Wspomożycielce.

Przy sposobności ogłaszam też cudowne uzdrowienie, jakie miało miejsce w tutejszej gminie z łaski N. P. Maryi W. W.

Pewnej rodzinie zachorował syn tak ciężko, że, mimo wszelkich zabiegów lekarskich, nie było go można utrzymać przy życiu. W tem smutnem położeniu p. Nauczycielka poleciła stroskanym rodzicom konającego już prawie dziecka, udać się do XX. Salezyanów w Oświęcimiu po ratunek, składając drobną jaką ofiarę na ich cele. I oto cud się stał! Skoro tylko zgodzili się na daną propozycyę i zabierali się do wysłania ofiary, dziecku natychmiast lepiej się zrobiło i przyszło do zupełnego zdrowia.

Tak Wspomożycielka ratuje tych, co Jej ufają, co do Niej się w potrzebie uciekają, co datkiem, choćby drobnym, przyczyniają się do szerzenia Jej czci i chwały na Ziemiach Polskich.

Wola Rusinowska, 26-V-1912.

FRANCISZEK G.

***

Wywiązując się z publicznie uczynionego ślubu, składam N. P. Maryi W. W. serdeczne podziękowanie za pomoc przy maturze, polecając się nadal Jej potężnej opiece.

Czerniowce, 17. IV. 1912.

SEWERYN STRAUB.

***

Zgłębi serca składam najpokorniejsze dzięki N. Sercu J. i N. P. Maryi W. W. za pomyślny wynik egzaminów, o który prosiłem Najwyższego i Wspomożycielkę Wiernych przez modły w zakładzie XX. Salezyanów w Oświęcimiu.

W..., 23. IV. 1912.

M. P.

***

Będąc bardzo strapioną z powodu pewnej sprawy, zwróciłam się za poradą jednej szlachetnej duszy do N. P. Maryi W. W., posyłając do Oświęcimia na mszę św. i na nowennę, obiecując w razie wysłuchania posłać na ponowną mszę i nowennę. Skutek modlitwy był pomyślny. Stosownie więc do uczynionego przyrzeczenia posyłam 6 K. na mszę św. i na nowennę. Oby każdy w trudnych kolejach swojego życia uciekał się z ufnością do Wspomożycielki, która nikim nie gardzi, nikogo nie opuszcza.

Pniewy, 24. IV. 1912.

ANNA PETEREK.

***

Proszę uprzejmie o mszę św. dziękczynną ku czci B. Serca J. i N. P. Maryi W. W. za uzdrowienie z przykrej choroby, o które prosiłam w nowennach do B. Serca J. i Wspomożycielki, przyrzekając publiczne podziękowanie.

Podhajczyki, 28. IV. 1912.

JERZYCZKOWA.

***

Wywiązując się z danego przyrzeczenia, proszę o łaskawe zamieszczenie mego najgorętszego podziękowania N. Matce Wspomożycielce, za łaskawą pomoc, jaką nam miłościwie dotąd w różnych potrzebach życia okazywała.

Czchów, 30. IV. 1912.

MARYA JANCZOWA.

***

Przejęta nieograniczoną czcią i wdzięcznością ku Najsłodszemu Sercu Jezusa i Najśw. Pannie Maryi Wspomożycielce Wiernych, składam publiczne podziękowanie za pomyślne zdanie bardzo trudnych egzaminów. Posyłając na Mszę św. dziękczynną przed obrazem Najśw. Wspomożycielki, polecam się nadal wraz z całą moją rodziną Jej wszechwładnej opiece.

Praga-Nowa, 12 V. 1912.

STEFANJA BOBRANÓWNA.

***

Wywiązując się z danego przyrzeczenia, składamy najgorętsze podziękowania Najsłodszemu Sercu Jezusa i Matce Boskiej Wspomożenia Wiernych za łaskę wyprowadzenia nas z bardzo trudnego materyalnego położenia, oraz błagamy nadal o Ich opiekę nad nami.

Warszawa, 20. V. 1912.

Z. D.

***

Najszczersze niniejszem składam Najsł. Sercu Jezusa, Najśw. Maryi Wspomożycielce Wiernych i św. Antoniemu, podziękowanie za pomyślne zdanie egaminów i proszę o dalszą Ich przemożną opiekę nademną, jak również i nad moją rodziną.

Warszawa-Praga, 12. V. 1912.

JADWIGA WITKOWSKA.

***

Wywiązując się z danego przyrzeczenia, składam gorące dzięki N. P. Maryi W. W. za otrzymane łaski.

Rzeszów, 1912.

MARYA DOMASZEWSKA.

***

Jako terminator kominiarski w Jarosławiu, nabawiłem się silnego zapalenia płuc i osłabienia nerwów. Gdy lekarze zwątpili już o mnie, w całej ufności mojej udałem się do Wspomożycielki po ratunek. Wspomożycielka nie zawiodła. Dziś jestem już o tyle zdrów, że dalej mogę zajmować się pracą.... *Wspomożycielko, bądź błogosławiona!*

Lubanów, 6. V. 1912.

JÓZEF BENC.

***

Prześladowany wraz z pokrewną mi osobą przez nieprzyjacielską partyę religijną, uciekłem się do Wspomożycielki, przyrzekając posłać 10 rubli na mszę św. przed cudownym Jej obrazem na Valdocco i na nowennę. Dziś więc kiedy nas Wspomożycielka wyrwała z prześladowczej ręki i łaskę nam wyjednała, chętnie spełniam moje przyrzeczenie i posyłam wymienioną ofiarę.

Gowarczów, 10. V. 1912.

A. CZARKOWSKI.

***

Wyrażam cudownej Lekarce z Lourdes, Niepokalanej Maryi, tej najtkliwszej Opiekunce uciśnionych, wdzięczność najgłębszą za łaskę uwolnienia od przykrego nader cierpienia fizycznego. Pragnę przytem, by jak najwięcej serc zwracało się w swych troskach do tej Niezawodnej Wspomożycielki. Ty, Maryo! racz przyjąć jedyne ,,votum,'' jakie ci złożyć mogę a tem jest ufność i miłość wdzięcznego serca.

X., 1912.

MARYA LUCYA.

***

Składam gorące podziękowanie N. Sercu P. J. i N. P. Maryi W. W. za uzdrowienie dziecięcia mego. Posyłam też skromną ofiarę na mszę św. dziękczynną i proszę o ogłoszenie tej łaski we *Wiadomościach.*

Wojtkowa, 1912.

M. DŁUGOSZOWA.

***

Z głębi serca składam B. Sercu J. i N. P. Maryi W. W. najczulsze podziękowanie za wiele doznanych łask, a głównie za ostatnią przy chorobie mej żony, polecając się nadal tej Najśw. Matuchnie.

Dąb, 1912.

JAN OLSZÓWKA.

***

Za uzdrowienie z choroby nerwowej składam najpokorniejsze podziękowanie N. Sercu J. i N. P. Maryi W. W. i nadal oddaję się Ich świętej opiece, a wywiązując się z danego słowa, posyłam na cele Salezyańskie 5 M.

Pyzdry, 10-V-1912.

MARYA WOSZCZYŃSKA.

***

Będąc w wielkiem strapieniu, udaliśmy się o pomoc do Wspomożycielki, przyrzekając w razie wysłuchania posłać ofiarę na mszę św. przed Jej cudownym obrazem i podziękować za odebraną łaskę we „*Wiadomościach Salezyańskich.*" Pokorna nasza modlitwa przebiła Niebiosa i potrzebną nam zjednała łaskę.

Wywiązując się przeto z danego przyrzeczenia, posyłamy 5 milerajsów na mszę św., prosząc, by ta cudowna Wspomożycielka i nadal nas nie wypuszczała ze Swej opieki i aby nam błogosławić raczyła w naszem gospodarstwie.

Rio Grande (Brazylia), 12-V-1912.

JÓZEF CYBULSKI.

***

Składam N. P. Maryi W. W. najserdeczniejsze podziękowanie za widoczną pomoc w wyratowaniu kawałka gruntu ze szpon żydowskich.

SZYMOM USECKI.

Brak Krystyna składa N. P. Maryi W. W. serdeczne podziękowanie za uzdrowienie syna.

Cieślak Antonina — *Lututów* (Król. Pol.) — za uzdrowienie z ciężkiej choroby.

Charytonowicz Michał — za cudowne przywrócenie ojcu zdrowia.

Gotzhe Marya — za odzyskanie zdrowia.

Kamasz Maryanna — *Lututów* — za ocalenie syna.

Polański — *Nizuń* — za pomyślność w polowaniu.

Rejewska — *Gniezno* — za uzdrowienie z ciężkiej choroby.

Rutkiewiczowa — *Grodno* — za wyzdrowienie.

Skoblicka Marya — *Ameryka* — za wyzdrowienie syna.

Sz. J. — *Dębica* — za wysłuchanie prośby.

Werstakowa Zofia — za rozmaite łaski, jakich, od czasu wspisania się do „*Związku Mszalnego*" doznała.

***

Nadto dziękują N. P. Maryi W. W. za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele Salezyańskie, a mianowicie na zakład w Oświęcimiu i Przemyślu, także następujące osoby:

Górny Śląsk:

Niestrój Jadwiga — *Gliwice.* Olszowska Marya *Niemieckie Piekary.* Wojciechowska Marya — *W. Mirkowice.*

Wielkie Księstwo Poznańskie:

Paluszkiewicz L. — *Szamotuły.* Pęziak Antoni — *Dębowo.*

Prusy Zachodnie i Wschodnie:

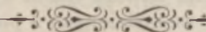
M. A. — *Gdańsk.* Lassak Alojzy — *Ujście W.* Gąsiorek Maryanna — *Ujście W.*

Królestwo Polskie:

Duzińska Aniela — *Mosarz.* Fidraccy Adolf i Józefa — *Knyszyn.* Chlebowiczowa Maryanna — *Indura.*

Ameryka:

Paradowski Józef — *Bryan* (Texas). Słac Floryan. — *Bryan* (Texas). Wiśniewski J. — *Bryan* (Texas.) Wysocki M. — *College Station.*



SKARBIEC DUCHOWNY.

Pomocnicy Salezyańscy, którzy **wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św.**, odwiedzą nabożnie jaki Kościół lub Kaplicę publiczną albo, jeśli żyją wspólnie, własną Kapliczkę i tamże **pomodlą się** na intencyę Ojca św., zyskać mogą następujące **odpusty zupełne:**

a) **każdego miesiąca:**

1) w dzień, przez każdego dowolnie obrany.
2) w dzień, w którym odprawią ćwiczenie dobrej śmierci.
3) w dzień, w którym wezmą udział w konferencyi Pomocników Salezyańskich.

b) **od 1° sierpnia do 1° września:**

1) Przemienia Pańskiego 6. sierpnia.
2) Wniebowzięcia N. M. P. 15. sierpnia.
3) Św. Rocha Wyznawcy 16. sierpnia.
4) Najśw. Serca M. P. 25. sierpnia.

c) **od 1° września do 1° października:**

1) Narodzenia Najśw. M. P. 8. września.
2) Imienia Najśw. M. P. 12. września.
3) Wywyższenia Krzyża Św. 14. września.
4) Siedmiu Boleści N. M. P. 15. września.
5) Św. Michała Archanioła. 29. września.

Nadto: Zyskać mogą zawsze, będąc w stanie łaski (bez potrzeby nawiedzenia jakiego Kościoła lub przystąpienia do Sakramentów śś.) wszystkie odpusty stacyjne w Rzymie, Porcyunkuli, Jerozolimie i św. Jakóba w Kompostelli, jeśli odmówią *5 Ojcze nasz, 5 Zdrowaś i 5 Chwała Ojcu* za pomyślność i potrzeby Kościoła i jedno *Ojcze nasz, Zdrowaś i Chwała Ojcu* wedle intencyi Ojca św.

Wiadomości Potoczne.

TURYN-VALDOCCO. — Spokojnie i w błogiej cichości płynie obecnie życie w macierzystym domu zakładów Salezyańskich: spokojnie i cicho w różnorodnych swych objawach natężonej pracy i wysilków, by dobry i obfity zebrać plon z całorocznej pracy wychowania zawodowo-naukowego. Pamięć tylko słodka i kojąca ubiegłych uroczystości jubileuszowych, dorocznej komemoracyi Ks. Bosko i imienin Głównego Przełożonego Zgromadzenia, który choć dawniej zwał się Michał Rua, obecnie Paweł Albera, lub jakkolwiekbądź w przyszłości nazywać się będzie, zawsze dzień św. Jana, jego uczczeniu poświęcon będzie, gdyż pod jakiembądź imieniem, zawsze będzie następcą Ks. Jana Bosko, zawsze był, jest i być powinien nowym Księdzem Janem Bosko.

Zapowiedziane w numerze czerwcowym b. r. „*Wiad. Sal.*" uroczystości jubileuszowe, odbyły się z wielką okazałością. Mimo to miały one bardzo uwydatnioną cechę uroczystości rodzinnej, szczerej i czysto swojskiej, czysto Salezyańskiej. Bardzo słusznie powiedzieć można, iż świat cały cieszył się naszem weselem, że na chwilkę wielcy i mali, ludzie dostojni urodzeniem, stanem i urzędami, żyli naszem życiem, że prześcigali się prawie w wyrażaniu Zgromadzeniu i jubilatom swej czci i najszlachetniejszych życzeń. Jego Świątobliność Ojciec Św. Pius X. łaskawie przysłać raczył swe życzenia i powinszowania za pomocą drogocennego autografu naprzód, a potem i telegramu w dzień obchodu.

Przysłali również listy z życzeniami lub telegramami Ich Eminencye Ks. kardynał Merry Del Val, sekretarz Stanu Jego Świątobliwości Ojca Świętego, kardynał Augustyn Richelmy i kard. Maffi; arcybiskup Ks. Jan Cagliero i Ks. Pasqualis Morganti; biskup Ks. Jakób Costamagna, Ks. Jan Marenco, Alojzy Spandre, Józef Gamba, Mateusz Filipello i wielu innych dostojników kościelnych i osób duchownych.

Wśród świeckich wymienić wypada J. Eksc. Falcionego, sekretarza ministra Sprawiedliwości, a z nim cały szereg podpisów Byłych Wychowanków, stanu szlacheckiego z Valsalice i Św. Jana Ewangelisty. Podobnie zebrali podpisy i Byli Wychowankowie innych zakładów, obecnie profesorowie, adwokaci, posiedziciele ziemscy, rzemieślnicy, którzy wszyscy zgodnie i jednogłośnie okazywali i śmiało wypowiadali swoje przywiązanie i wdzięczność dla całego Zgromadzenia Salezyańskiego, szczególnie zaś dla trzech sędziwych i tak wielce zasłużonych jubilatów. Na wieczorku przemawiali jedynie dawni wychowankowie i uczniowie na miejscach honorowych siedzących staruszków, wyjąwszy kilku młodocianych przedstawicieli najbliższych zakładów. W imieniu Córek Maryi Wspomożycielki przemawiał Przew. Ks. Augustyn Amossi.

Najbardziej rozrzewniającymi momentami były nabożeństwa kościelne. Siwowłosy Ksiądz Jan Lemoyne w asystencyi również niemłodego już ks. Veronesiego Mojżesza, Dyrektora Oratoryum na Valdocco i Ks. Wincentego Lemoyne, brata celebransa, o własnych siłach, lecz z widoczną trudnością dążył do stóp ołtarza, by odprawić mszę św. wspólną. Na widok tego słodkiego staruszka, rzesze, zapełniające po same brzegi olbrzymią Bazylikę, rozstąpiły się, dając wolne przejście. Wielom łzy w oczach się zaświeciły i błyszczały, trzęsąc się na drżących rzęsach, jakby się obawiały zbyt wczesnego opadnięcia i zamarcia. Bo też to były łzy szlachetne, wytoczne uczuciem serca przyjaznego i życzliwego, których nikt wstydzić się nie potrzebuje.

Ksiądz Francesia odśpiewał uroczystą Sumę w asyście dawnego swego ucznia, Najprzew. Ks. Pawła Albery, obecnego Generała Zgromadzenia św. Franciszka Salezego. W prezbiteryum zajmowali miejsca honorowe: Przew. Monsignor Muriana, Ks. proboszcz Piano, prof. Fabre, hr. Balbo di Vinadio, baron Righini, hr. Regie Donato, adwokat Manzini z Genuy, i inni przedstawiciele Z. B. W. z oratoryum, z Valsalice, z Lanzo i z Varazze. Nie brakło też licznych przedstawicielek Córek Maryi Wspomożycielki i ich B. W.

Po ewangelii O. Righini T. J., dawny wychowanek Seminaryum Misyjnego w Valsalice, wygłosił kazanie okolicznościowe. Wykazał on, jako w osobach trzech jubilatów jednoczy się i uzupełnia wszelka czynność Zgromadzenia Salezyańskiego. I to: działalność wychowawcy chrześcijańsko-katolickiego uosabnia się w Ks. Francesii; prace misyjne w osobie arcybiskupa Ks. Jana Cagliero, a pielęgnowanie sztuk pięknych, szczególnie poezyi, literatury i nauk historycznych, w osobie Ks. Jana Lemoyne. W końcu wyraził swoje i wszystkich, mających jakiebądź stosunki z Salezyanami, życzenie, by na ołtarzu, wznoszącym się u stóp Matki Wspomożycielki, jak najrychlej spoczęły błogosławione szczątki ciała Syna i Apostoła przemożnej Królowej Wszechchrześcijaństwa, X. Jana Bosko.

Przy obiedzie zeszli się znowu dawni przyjaciele i wesoło spędzili czas, krzepiąc ducha wspomnieniami czasów przeszłych i wzajemnemi wy-

nurzeniami życzeń najlepszej przyszłości i szczęśliwego wspólnego panowania w Królestwie niebieskiem. W dwa tygodnie później przypadła uroczystość św. Jana Chrzciciela; a więc, bądź to mocą ducha pierwszych czasów Zgromadzenia, żywo utkwionego w sercach jego członków, bądź



Przew. Ks. Francesia i Lemoyne.

też z przyczyny ustalonego już zwyczaju, obchodzono imieniny Najprzew. Ks. Pawła Albery i komemoracyę Czcig. Ks. Jana Bosko.

W dwóch tych uroczystych obchodach wzięło udział całe Zgromadzenie: bliżsi przysyłając swych przedstawicieli, dalsi drogą telegramów wyrazili swoje uczucia. Taksamo Związek Pomocników Salezyańskich znalazł godnego przedstawiciela w osobie Prof. Rudolfa Bettazziego. W imieniu Związku Międzynarodowego Byłych Wychowanków przemawiał prof. i radca komunalny p. Piotr Gribaudi, a Kółko Ks. Bosko zastępował adwokat Batù. Mowę komemoracyjną wygłosił Dr. teol. i prawa, ksiądz Flawian Vianici.

W sam dzień święta Jana Chrzciciela zawitał do naszego zakładu J. Eksc. arcybiskup Julian Conon z Porto-Principe na wyspie Haiti. Przybył on prosić, by przyjęto w jego dyecezyi zakład wychowawczo-naukowy, dla wspomagania i pielęgnowania młodych powołań do stanu duchownego.

Nieco później przybyła deputacya B. W., mających stałą swą siedzibę w Turynie, by złożyć zwykłą, doroczną wizytę Następcy Ks. Bosko. Przemawiał przewodniczący Ks. Proboszcz teolog Guala. Przy tej sposobności złożyli na ręce Ks. Albery ofiarę 1000 lirów, przeznaczając je na Pomnik Ks. Bosko w Turynie.

Na drugi dzień gościł tu biskup tytularny Fawii, wikaryusz apostolski w Hong-Kong, u którego przez kilka miesięcy żyli współbracia nasi, misyonarze w Chinach.

Najdostojniejszemu metropolicie, niezmordowanemu i miłosiernemu biskupowi wikaryuszowi, niechaj brzmią szczere nasze podziękowania. Niechaj długie jeszcze żyją lata i pracują na cześć misyi katolickich; dla rozszerzenia Kościoła Chrystusowego, dla odkupienia dusz Krwią Przenajdroższą Zbawiciela naszego odkupionych.

Wśród Naszych Wychodźców.

Gorące pragnienia i ideały nasze, by nieść pomoc braciom na obczyźnie, zamieniają się w rzeczywistość. Z pierwszym września otwieramy **pierwszy Zakład Salezyański dla dzieci emigrantów polskich w Stanach Zjednoczonych.**

Zakład wznosi się na wyniosłem, malowniczem wzgórzu, 5 minut od dworca kolei żelaznej „New-York Central."

Zdrowy klimat, czarowna piękność okolicy, nie-

wielka odległość od metropolii Stanów, ale przedewszystkiem system wychowawczy w duchu X. Bosko wpływać będzie na to, by młodzież rosła w tym zakładzie silna ciałem i duchem na pociechę narodu, do którego należy i Kościoła.

Celem tego Zakładu jest dać młodzieży opuszczonej i mniej zamożnej gruntowne wychowanie chrześcijańskie, oraz wykształcenie wyższe (High School). A ponieważ w naszych czasach okazuje się wielki brak kapłanów i misyonarzy, dlatego Zakład w pierwszym rzędzie zajmować się będzie chłopcami objawającymi powołanie do stanu duchownego.

Zakład nie posiada żadnych stałych funduszów, lecz utrzymuje się jedynie z codziennych zapomóg Opatrzności. Wychowanków przyjmuje i utrzymuje w myśl tej zasady X. Bosko: „Nie jest rzeczą słuszną, by korzystał z obcej dobroczynności, kto posiada coś swego."

Na tej zasadzie:

a) Sieroty bez ojca i matki, które nic własnego nie posiadają, przyjęte zostaną zupełnie darmo.

b) Kto ma ojca albo matkę, albo kto posiada jaką własność, powinien według własnych sił pokrywać wydatki na swe utrzymanie.

c) Aby się upewnić, że ofiary naszych Pomocników idą na korzyść chłopców najgodniejszych poparcia, nie będzie się z reguły czyniło żadnych ustępstw w pierwszem półroczu, lecz dopiero później, gdy się sprawdzi, że chłopiec swą pilnością w naukach i dobrem prowadzeniem zasługuje na wsparcie. W każdym razie pensya nie będzie wyższą od 1[illegible] dolarów miesięcznie.

Pensyę płaci się naprzód za każdy miesiąc.

Przy wstąpieniu do Zakładu kandydat składa 10 dolarów na światło, opał, łóżko, materac itp.

Za przybory szkolne, książki, papier, oraz za lekarstwa, naprawy obuwia i ubrań, płaci się osobno.

Nauk udziela się według programu obowiązującego w Stanie Nowojorskim z uwzględnieniem potrzeb narodowo-polskich.

Językiem wykładowym jest język polski w następujących przedmiotach: w Religii, Łacinie, oraz w Literaturze, Historyi i Geografii Polski. Innych przedmiotów uczy się w języku angielskim.

W domowem pożyciu regulamin przepisuje, kiedy wychowankowie mają używać języka polskiego a kiedy angielskiego. Udział profesorów polskich we wszystkich zabawach i konwersacyach daje wychowankom sposobność do gruntownego przyswojenia sobie języka polskiego.

Zakład rozporządza kompetentnemi siłami nauczycielskiemi. Profesorowie w Zakładzie są nietylko nauczycielami, ale nadewszystko wychowawcami. Przebywają z uczniami nietylko w szkole, ale i poza nią: w kościele, w studyum, na rekreacyi, w jadalni, sypialni itd., by jej przyświecać dobrym przykładem i na każdym kroku służyć upomnieniem, radą i pomocą.

Rok szkolny rozpoczyna się pierwszego września.

Rozkład godzin uwzględnia 8 godzin pracy umysłowej, przeplatanej ruchliwą zabawą i ćwiczeniami gimnastycznemi.

Przedmioty nadobowiązkowe: gra na fortepianie, pisanie na maszyncc, śpiew, deklamacya, gimnastyka itd.

Podając prośbę o przyjęcie, trzeba załączyć:

a) metrykę chrztu,

b) świadectwo moralności od Proboszcza,

c) świadectwo zdrowia od lekarza,

d) świadectwo odbytych nauk.

Te ostatnie posłużą za klasyfikacyę, atoli zarząd będzie mógł poddać kandydata egzaminom z przedmiotów, których się uczył, ilekroć to uzna za stosowne.

Wychowankom niewolno palić tytoniu, trzymać u siebie pieniędzy, broni lub artykułów spożywczych. Pieniądze przesłane wychowankowi, obróci Przełożony na pokrycie jego wydatków. Nadesłane artykuły spożywcze idą do kuchni, do wspólnego użytku.

Wstępujący powinien z sobą przynieść:

a) Jedno ubranie na święta.

b) Dwa na codzień.

c) Dwie pary trzewików.

d) Sześć koszul.

e) Cztery koszule zimowe.

f) Cztery pary kalesonów (gaci).

g) Dostateczną liczbę kołder.

h) Cztery prześcieradła.

i) Dwie poszewki na poduszkę.

j) Jedno białe pokrycie łóżka.

k) Sześć par pończoch.

l) Dwanaście chusteczek do nosa.

m) Cztery serwetki.

n) Sześć ręczników.

o) Dwanaście kołnierzyków.

p) Cztery krawatki.

r) Szczotki do obuwia, do ubrań, zębów itp.

Zarząd nie odpowiada za zgubę drobnych przedmiotów jakoto: serwetek, krawatów, chusteczek itp.

Prośby o przyjęcie, żądania o bliższe informacye, jak nie mniej ofiary w pieniądzach i rzeczach na ten pierwszy Zakład Salezyański, prosimy przesyłać pod następującym adresem:

Przew. X. Dr. Tomasz Pałałong
Zakład Ks. Bosko.
Hawthorne, N. Y.

Z Życia Byłych Wychowanków.

SPECYA. — Pierwszy zjazd Byłych Wychowanków zakładu św. Pawła odbył się tu z wielką okazałością i serdecznością dnia 28-go kwietnia. Rano o godzinie ósmej odprawił mszę św. wspólną Monsignor Linus Gianini, B. W. (1) tego domu, a obecnie Przeor w Castelnuovo Garfagnana. W godzinę później otwarto posiedzenie pod przewodnictwem wspomnianego już Ks. Gianiniego, Ks. kanonika D'Isengard, przeora w S. Maria, Ks. Cogliolo, zastępującego inspektora Ks. Laureriego, dyrektora zakładu Ks. Mantelliego i wielu innych osobistości.

Posiedzenie zagaił p. adwokat Boracchia, wy-

(1) B. W. = Były wychowanek.

głaszając mowę powitalną; poczem przedstawił p. adwokata Ksawerego Fino z Turynu.

Dziennik „*Popolo*" pisze: „Adwokat Ksawery Fino krótko, jaśnie, lecz w sposób bardzo niepospolicie obmyślony, przedstawił słuchaczom działalność Ks. Bosko i Zgromadzenia Salezyańskiego, rozpatrując ją w świetle otoczenia dziejowego, wśród którego została powzięta: w świetle ducha przewódczego, który ją ożywiał i ciągle jeszcze ożywia, obrazując w końcu jaskrawo różnorakie objawy tejże czynności, w które się wciela, aby dopiąć swego celu.

Ksiądz Bosko zawsze i stanowczo różnił się od swoich współczesnych rodaków-piemończyków, którzy i w najbardziej zadziwiających swych dziełach miłosierdzia chrześcijańskiego, nigdy nie zdołali wznieść się ponad ów głęboko zakorzeniony egoizm więcej niż narodowy, bo nie wychodzący po za granice dawnego królestwa Piemontu, pracujących jedynie i często wyłącznie tylko dla swoich, a pozostawiających pracę nad obcymi i dla obcych, innym bliższym im osobom. Ksiądz Bosko od samego początku zamierzał stworzyć dzieło międzynarodowe, któreby pracowało zawsze i wszędzie dla dobra tego narodu, wśród którego zostało przygarnięte, co zażądał jego pomocy. Stąd też wynika, że Zgromadzenie Salezyańskie, to nie Zgromadzenie włoskie, ni francuskie, ni polskie lub niemieckie wyłącznie, ale jest włoskie, francuskie, polskie, niemieckie itd., wedle narodowości tych, wśród których się osiedliło; słowem: Zgromadzenie Salezyańskie, to Zgromadzenie międzynarodowe, powszechne, katolickie.

Inną cechą znamienną i wyróżniającą dzieło Ks. Bosko od wszystkich ówczesnych pokrewnych mu dzieł, oddających się z zasady wychowaniu młodzieży stanów wyższych, udzielających nauk ściśle klasycznych, jest ta, że on duchem proroczym przewidział, iż przyszłość narodów nie będzie nadal spoczywała w ręku kilku uprzywilejowanych, iż przeciwnie panem położenia i wszelkiego ruchu społecznego będzie naród, lud prosty, lud robotniczy. Tym klasom niższym tedy Ks. Bosko poświęcił samego siebie, swoje siły i siły tych wszystkich, którzy z czasem przyłączą się do niego i sercem i duszą poślubią sprawę tego niemowlęcia społecznego; którzy wszystko poświęcą, aby oddać się jedynie wychowaniu, wykształceniu i przygotowaniu tego przyszłego władcy do swego powołania. Widząc niedołężność tego ludu i złą wiarę tych, którzy, pod płaszczykiem prowadzenia i kierowania nim, rozmyślnie prowadzili go na bezdroża daleko od Boga i Kościoła, ku przepaściom i rozbiciu moralnemu i materyalnemu, powziął zamiar ratować ten lud.

Niebawem zaczyna katechizować najbardziej opuszczonych, mniej i więcej już dorosłych, nie mających żadnego pojęcia o obowiązkach religijnych, społecznych. Zbiera ich wieczorami i we święta koło siebie gdzie i jak tylko może, uczy, objaśnia różne zadania i położenia. Opiekuje się robotnikami i rzemieślnikami, pośrednicząc między nimi i pracodawcami. Z biegiem czasu otwiera zakłady własne, wychowuje setki i tysiące biegłych i doskonałych, a co najważniejsze, uczciwych, katolickich mistrzów rzemieślniczych. Szkoły jego nabierają rozgłosu i wszyscy, chcący w duchu Kościoła postępować, wołają jego synów, im polecają, im powierzają najdroższy swój skarb: młodzież. Oto zbawcza praca Salezyanów. Gdyby nie ta, gdyby Salezyanie oddawali się jedynie pracy miłosierdzia, żadnych nie doznawaliby napaści ni prześladowań ze strony służków kliki żydowsko-masońskiej. Ale, że gdzie zajdą, tam pracują dla dobra Kościoła i narodu, wychowując pracowników i urzędników biegłych, niebojących się żadnego współzawodnictwa przeciwników swoich, że oddają społeczeństu rok rocznie pokaźny zastęp ludzi pewnych siebie, znających swe prawa i obowiązki, że zasilają bezustannie państwa obywatelami religijnymi i odważnymi, dlatego właśnie Salezyanie są prześladowani od tych, którym praca ich krzyżuje plany i szyki, a którzy, niestety, sterem państw władają.

— Lecz młodzież, wychodząc z zakładów, nie przestaje być młodzieżą. Pełna zapału i pewna swych sił, rzuca się w wir czynu i w uniesieniu swojem często traci z oka czystość i nieskazitelność świętych swych celów. Tak zdarza się często, że bezwiednie, mimowolnie pracuje na korzyść tych celów i zabiegów, których ze serca nienawidzi i przeciw którym zamierza jedynie działać; których upadek i śmierć, jej najulubieńszym jest ideałem. Takiemu wskaż tylko w dobroci, po przyjacielsku na bezbożny i przewrotny wynik jego wysiłków, a wnet, dziękując ci za napomnienie, ramię przy ramieniu koło ciebie stanie i razem już ku prawdziwemu celowi zdążać będziecie. Oto cel stowarzyszeń Byłych Wychowanków. Co Salezyanie wychowali, co oni gotowe do boju w świat puścili, Związek Byłych Wychowanków powinien zachować, ostrzegać przed niebezpieczeństwami, czuwać, by ich siły bojowe nie marniały, owszem, by się rozrastały, mnożyły i mężniały. Częste zjazdy zaś B. W. mają mieć cel ogólno-przewodniczy. Zetknięcie się bliższe z dawnymi wychowawcami i towarzyszami lat młodzieńczych zdąża do odświeżenia zapału, do wzmocnienia poczucia religijności i braterstwa. Zachodzi także w zakres działalności B. W. rozpowszechnianie dzieł Ks. Bosko, by coraz większa ilość młodzieży z ich dobroczynności korzystać mogła; dalej do nich należy obrona dzieł Salezyańskich prawna i prywatna, słowem i czynem przed napadami i prześladowaniami tych, którym solą w oku jest wszystko, co narodowe, dobre, chrześcijańskie, boskie, wszystko, co święte."

Burza oklasków zerwała się po skończeniu tej mowy, która niebywałe sprawiła wrażenie. Przemawiali jeszcze inni z wymienionych osobistości, na różne tematy. W końcu uchwalono przyjęcie ustaw, przystąpienie do Z. M. B. W. (1) i wybrano członków wchodzących w komitet związku miejscowego.

Podobnie i w wdzięcznej mieścinie **Caluso** założono Związek B. W. Dnia 5-go maja zebrali się

(1) Z. M. B. W. = Związek Międzynarodowy B. W.

oni w naszej kaplicy świątecznej. Po odśpiewaniu mszy św., podczas której wszyscy przystąpili do Stołu Pańskiego, dano śniadanie, a następnie odbyło się posiedzenie. Pierwszy przemawiał Przew. Ks. Aimerito, były dyrektor niniejszej kaplicy świątecznej, obecnie zaś rektor szkół komunalnych w Foglizzo i dyrektor tamtejszego oratoryum. Po nim zabrał głos Ks. Branca, następca poprzedniego mowcy w Caluso, dalej adwokat Wincenty Battù, zawsze genialny w swych pomysłach i serdeczny a porywający w przemówieniu, adwokat Seweryn Bianco i inni z B. W. Po



WŁOCHY-CALUSO — *Zlot Byłych Wychowanków.*

południu urządzono wspaniały pochód przez miasto. Wzięły w nim czynny udział wszystkie korporacye i stowarzyszenia miejscowe ze swemi chorągwiami i sztandarami. Przygrywała fanfara naszego oratoryum świątecznego z Ivrei i kapela z Caluso.

Wieczorem, wśród ogólnego uniesienia i zapału, przy dźwiękach dziarskiej muzyki, odsłonięto pomnik dla Ks. Bosko. Mowę okolicznościową wygłosił adwokat Wincenty Batù z Turynu.

Inny obchód i zjazd tegoż rodzaju odbył się:

— **We Florencyi** — pod przewodnictwem adwokata Mazzottiego, J. Eksc. arcyb. tytularnego Patrasu, Księdza Velluti-Zattiego, przy udziale patronalnym wielu dostojnych panów i pań miejskich.

ROZMAITOŚCI.

Hygiena nauczania.

Ważnym bardzo działem hygieny szkolnej jest *hygiena nauczania*, zapobiegająca wszelkiemu naruszeniu zdrowia ucznia, przeciążeniu nauką i wyczerpaniu układu nerwowego przez pracę szkolną. Obecnie wymaga się, by każdy nauczyciel bez względu na swoją specyalność, był obeznany dokładnie z hygieną, by stosował się do niej w nauczaniu na każdym kroku, by oprócz troskliwości o postępy ucznia w danym przedmiocie, miał również na względzie jego zdrowie i prawidłowy rozwój fizyczny. Dopóki nie będziemy mieli nauczycieli dokładnie obeznanych z hygieną, dopóty i wszelka hygiena nauczania będzie czczą teoryą, nie znajdującą zastosowania w praktyce i uczniowie cierpieć zawsze będą pod wpływem przeciążenia umysłowego i wymagań, nie licujących bynajmniej ze stopniem ich zdolności i sił fizycznych. Dlatego też za zupełnie słuszne uznajemy wymaganie, by hygiena wykładana była w seminaryach nauczycielskich i by nauczyciele byli z niej egzaminowani przez lekarzy hygienistów. Wtedy dopiero pedagodzy zrozumieją prawa rozwoju dziecka,

wtedy działać będą zapobiegawczo i bronić jego zdrowia, gdy sami posiądą znajomość hygieny i interesować się będą jej postępami. Spełnienie tych wymogów jest konieczne w interesie zdrowia młodzieży.... Ażeby zaś choć w części zaznajomić Szan. Czytelników z najogólniejszemi tej hygieny zasadami, podajemy tu kilka o niej uwag.

Przedewszystkiem tedy przy oddawaniu dziecka do szkoły, należy *zważać na* jego rzeczywisty *rozwój umysłowy* i oddać je do tej klasy, do której rzeczywiście naukowo jest przygotowane, by mogło wszystko zrozumieć i podążyć za wykładem nauczyciela; u nas bowiem dzieje się wprost inaczej; dlatego dziecko nie może pracować samodzielnie, opanowywa przedmioty tylko pamięciowo i nie może obyć się w końcu bez korepetytora, odrabiającego zwykle za ucznia wszystkie zadania. Szczególniejsza jednak ostrożność konieczną jest w postępowaniu z uczniami, obarczonymi dziedziczną skłonnością do chorób nerwowych. Tutaj należy opóźniać, o ile można, oddanie go do szkół. Nie mamy, niestety, wiele dotąd w kraju zakładów wychowawczych na wsi, a jest to rzeczywiście paląca potrzeba. Nie chodzi bynajmniej o rozwój intelektualizmu u dzieci nerwowych, zwykle bardzo pojętnych i nad wiek umysłowo rozwiniętych, ale o zahartowanie układu nerwowego, wykształcenie siły woli, charakteru i wdrożenie do wytrwałości w pracy. W takich razach pobyt na wsi, praca fizyczna w najszerszym zakresie, wyrabiająca układ mięśniowy i hartująca nerwy, umiarkowane używanie zimnych kąpieli, jakoteż posilnego, a nie drażniącego odżywiania się, wzmocnią dziecko i przygotują je do spełnienia trudnych wymagań szkoły. Prof. Oppenheim, znakomity lekarz chorób nerwowych, zwraca uwagę na to, iż wiele dzieci nerwowych pod wpływem pracy szkolnej, przechodzącej ich siły i odporność mózgu, staje się wybitnymi psychopatami, zwłaszcza w epoce pokwitania. Szczególniej szkodliwem jest tutaj zbytnie obarczanie pamięci.

Trzeba też, by wychowawcy i rodzice przejęli się tą myślą, że *szkoła wywiera wpływ* w wysokim stopniu *anty-hygieniczny* na rozwój dziecięcego ustroju. Dyrektor E. Bayr z Wiednia zwraca uwagę na ten ważny fakt, że uczniowie w czasie wakacyi więcej rosną i przybierają na wadze, aniżeli w czasie roku szkolnego. Zostało mianowicie dokładnie stwierdzonem, że uczeń w czasie roku szkolnego zyskuje na wzroście przeciętnie na miesiąc 3 mm., gdy podczas wakacyi zyskuje na miesiąc 6,4 mm., a więc przeszło dwa razy tyle. Obserwacye te uczonego pedagoga wiedeńskiego są ważnym przyczynkiem do hygieny szkolnej; dowodzą bowiem niewątpliwie, iż szkoła działa hamująco na rozwój młodocianego ustroju. Dzieci przeciążone pracą umysłową nie rozwijają się cieleśnie, a uczeni fizyologowie włoscy Luciani i Serafini, dla objaśnienia naukowego tego faktu, twierdzą, że mózg intensywnie pracujący, odciąga tak potrzebny mu fosfor innym tkankom, a mianowicie kościom i gruczołom, zawierającym go w obfitości. Co gorsza! — mózg, rosnąc i rozwijając się, wobec wielkiej pobudliwości układu naczyniowego, łatwo wskutek przeciążenia umysłowego, przechodzi do przekrwienia. Lecz niestety! wszyscy wychowawcy w swoich zapędach pedagogicznych zapominają o tem!!.... Spieszy im się ogromnie z dostarczaniem różnorodnych wrażeń, ze zbytniem obarczaniem pamięci i umysłu pracą ponad siły i przyrodzone własności ustroju ucznia. Nie potrzeba się przekonywać, czy uczeń zrozumiał przedmiot! Wystarczy zadać stąd — dotąd,... i skończyć program!!.... Czyż nie jest to przyczynianie się tylko do zwyrodniania społeczeństwa?!.....

Hygiena nauczania wymaga też koniecznie, by *liczono się ze stopniem zdolności umysłowych*, szkoła średnia stawia bowiem pod tym względem wielkie wymagania. Prawie wszyscy rodzice marzą o karyerze naukowej dla swych dzieci, żądają koniecznie, by każde dziecko skończyło gimnazyum i uniwersytet, by otrzymało stopień naukowy, zapominając zupełnie o tem, że tylko wyżej uzdolnione jednostki mogą sprostać wygórowanym żądaniom szkoły. Nauka dla mniej uzdolnionych jest codzienną męczarnią, podkopującą szybko siły fizyczne ucznia i sprowadzającą zupełne wyczerpanie umysłowe. Przypominamy tutaj, iż obecne programy szkół średnich wymagają wrodzonego uzdolnienia filologicznego, zarówno jak i matematycznego, a w dodatku nadzwyczajnej pamięci, co rzadko się zdarza w połączeniu. Nad tą właściwością psychologiczną zastanowić by się należało przy układaniu programów szkolnych. Uczniowie, uczący się łatwo greki i łaciny, nie mają po większej części żadnych, lub małe zdolności do matematyki, wymagającej uzdolnienia specyalnego. Odznaczający się uzdolnieniem do nauk matematycznych, mają zwykle słabo rozwiniętą pamięć, tak niezbędną, przy nauce języków starożytnych. Dla tego więc typu uczniów przedstawiają one nieprzezwyciężone trudności. Nadto jak wykazały badania doświadczalno-psychologiczne, matematyka jest przedmiotem najwięcej nużącym i wyczerpującym mózg; jakież więc przedstawia ona trudne zadanie dla mało uzdolnionych uczniów!..... Znakomity badacz hygieny szkolnej, prof. Griessbach, zwraca również uwagę w swoich pracach na to, że wymagana przez obecną szkołę różnostronność uzdolnienia w połączeniu z silnie rozwiniętą pamięcią, jest udziałem bardzo nielicznych jednostek; niektórzy uczeni, jak np. znakomity pedagog prof. Kemsies z Berlina, twierdzą, że zaledwie 5 % całej masy uczniów posiada tego rodzaju uzdolnienie. Oddając więc mało zdolne dzieci do gimnazyów i popychając je najrozmaitszymi, a po większej części mało pedagogicznymi środkami, zwiększamy tylko liczbę chybionych egzystencyi i inwalidów cielesnych i duchowych, wprawdzie ze zdobytymi, z wielkim trudem dyplomami szkolnymi, ale bez zdolności sprostowania wymaganiom życia praktycznego.

Przy układaniu natomiast *programu lekcyi*, należy na to przedewszystkiem zwrócić uwagę, by całe przedpołudnie było dobrze wyzyskane. Według epokowych badań prof. Kraepelina i jego uczniów, po długim i głębokim śnie sprawność umysłowa w godzinach przedpołudniowych jest większa; dosięga swego maximum między godziną 11-tą a

12-tą w południe. W godzinach przedpołudniowych więc powinny być wykładane najtrudniejsze przedmioty. Czas nauczania nie powinien trwać dłużej nad 45 minut, po każdym zaś przedmiocie powinna nastąpić 15 minutowa pauza, przeznaczona na swobodny spacer na świeżem powietrzu. Nadto trzeba zwracać uwagę i na to, by po trudnych przedmiotach następowały łatwiejsze, nie sprowadzające tak prędko wyczerpania umysłowego. Do przedmiotów trudnych zaliczamy języki starożytne, matematykę i fizykę; do łatwych rysunki, kaligrafię, pracę ręczną, gimnastykę, muzykę i śpiew; do średnio-trudnych, resztę przedmiotów. Hygiena nauczania wymaga również, by przedmioty, wymagające natężenia wzroku, były nauczane w najjaśniejszą porę dnia. Trzeba mieć i to na uwadze, że w niższych klasach uczniowie męczą się łatwiej, aniżeli w wyższych. Czytanie, kaligrafia, matematyka i gramatyka przedstawiają mało urozmaicenia i dlatego działają nużąco na łatwo wyczerpujący się mózg młodego ucznia. Trzeba przytem, by nauczyciel wszędzie, gdzie tylko może, posługiwał się *metodą poglądową*, która mniej nuży i mniej wyczerpuje, aniżeli abstrakcyjna praca umysłowa, zużywająca dużo energii mózgowej. Dużo również zależy od tego, by nauczyciel umiał wzbudzić zainteresowanie do wykładanego przedmiotu, by miał zręczność i talent pedagogiczny. Uczeń przymuszający się do nauki, uczący się przedmiotu bez zainteresowania, wyczerpie się umysłowo szybciej, aniżeli ten, w którym wykładany przedmiot budzi zajęcie. W swoich badaniach nad hygieną pracy umysłowej prof. Kraepelin stwierdza ten fakt, że zainteresowanie się pewnym przedmiotem zwiększa znacznie zapas energii nerwowej. Jednem właśnie z najważniejszych zadań szkoły jest budzenie interesu do nauki. Nauczyciel więc, oprócz działania na umysł, powinien wpływać i na uczucie ucznia, aby brał czynny udział w lekcyi. Hygiena nauczania wymaga również, by przedmioty tak rozłożone były, aby postawa ciała ulegała przytem zmianie. Zachowywanie ciągle jednej i tej samej postawy wywołuje nadmierne zmęczenie mięśni i oczu. Przeczyłoby więc wszelkim zasadom hygieny, gdybyśmy w planie lekcyi umieścili po sobie kaligrafię, rysunki i pracę ręczną.

Nie *należy także* wymagać od ucznia, jak to czyni większość nauczycieli, by zupełnie nieruchomo siedział w ławce. Takie zupełnie unieruchomienie wywołuje szybko nadmierne zmęczenie. Nauczyciel wystrzegać się również powinien zbytniej sztywności i surowości. Cała atmosfera w szkole nie powinna być przygnębiającą, oddziaływa to bowiem szkodliwie na układ nerwowy wychowanka. Zdrowy humor i swoboda umysłowa powinny panować w szkole, co oddziaływa zbawiennie na zdrowie i nastrój duchowy uczniów. Hygiena nauczania wymaga również od nauczyciela, by podczas lekcyi zwracał uwagę na prawidłową postawę uczniów. Jest to punkt niesłychanie ważny, wymagający ciągłej troskliwości i bacznego oka. Uczniowie siedzą zwykle na brzegu ławki, opierając się o poręcz. Wynikiem tego nieprawidłowego siedzenia jest skrzywienie kręgosłupa, ucisk jamy brzusznej i zwężenie klatki piersiowej. Wszystko to wywiera wpływ szkodliwy i hamuje prawidłowy rozwój ciała. Nogi nakoniec nie powinny być zakładane jedna na drugą, sprowadza to bowiem skrzywienie miednicy i wyprowadza kręgosłup z właściwego położenia. Nadto z punktu widzenia hygieny mamy zupełne prawo żądać, by dziecko na godzinę przed snem zaprzestało wszelkiej pracy naukowej, inaczej bowiem w godzinach rannych nie odzyska sprawności umysłowej i nie będzie mogło podążyć za wykładem nauczyciela. Dalej należy pamiętać, iż po obiedzie sprawność umysłowa wybitnie się zmniejsza, zjawia się ociężałość, uczeń więc powinien mieć przynajmniej godzinę wypoczynku. Okazało się również, iż po odpoczynku niedzielnym sprawność umysłowa uczniów w poniedziałki i wtorki jest największą; środkowy więc dzień w tygodniu powinien być przeznaczony koniecznie na odpoczynek. Wreszcie, nie od rzeczy będzie przypomnieć, że wszelkie zadania karne powinny być raz na zawsze zniesione, bo zohydzają tylko naukę i budzą do niej niechęć.

Kończąc te uwagi, dodać musimy, iż tylko oparcie wychowania na podstawach ściśle naukowych, obok uwzględnienia cech narodowych dziecka, doprowadzić może społeczeństwo do rzeczywistego postępu.

NEKROLOG

Wielkie Księstwo Poznańskie:

Brylowska Józefa — *Gostyń.*
Morgiel Walenty — *Lutogniew.*
Rosik Barbara — *Kobierno.*
Sawińska Franciszka — *Ujście.*
Skalski Marcin — *Poznań.*
Walkowska Katarzyna — *Gostyń.*

Królestwo Polskie:

Andrzejewska Leontyna — *Krajcza.*
Górniewicz Wiktorya — *Krajcza.*
Pietrowicz L. — *Krajcza.*

Galicya:

Gostylla Katarzyna — *Stary-Sącz.*
Petla Julianna — *Korczyna.*
Skopówna — *Lwów.*

Prusy Zachodnie:

Górecka Maryanna — *Brodnica.*
Struk Jakób — *Bór-Hela.*

Górny Śląsk:

Rytt Jerzy — *Łąka.*
Żyła Agnieszka — *Szombierki.*

Brazylia.

Biadaszkiewicz Ignacy — *S. Felicyano.*

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.
Drukarnia Miedzynarodowej Spółki Wydawniczej — Turyn, Corso Regina Margherita 176.
Odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).

rzystne pod względem moralnym i materyalnym, w godzinach wolnych od nauki i pracy.

Niechaj Pan Bóg sowicie wynagrodzi tym, którzy cegiełkę swą dołożyli, by wznieść dzieło tak zbożne.

Aby jednak utrzymać się mogło, od Waszego dobrego serca to zależy Szanowni **Pomocnicy i Czcigodne Pomocnice**. Pomni na słowa Pana Jezusa „Coście jednemu z tych najmniejszych uczynili, toście mnie uczynili," raczcie i nadal łaskawością Swą nas otaczać, wspierając nas chętnym Swym datkiem, który uprasza się wysyłać pod następującym adresem:

Wiel. Ksiądz Dyrektor

Zakładu salezyańskiego

w PRZEMYŚLU

Galicya - Ul. Św. Jana 15.

Kościoł św. Józefa w Przemyślu.

Od blisko dwóch lat czytają Przezacni nasi Pomocnicy na okładce Wiadomosci Salezyańskich odezwę księdza dyrektora zakładu salezyańskiego w Przemyślu. Pomiędzy innemi jest tam wzmianka, że w dzielnicy miasta, „Zasanie" jest niezbędna potrzeba kościoła parafialnego, który J. E. Najprz. ks. Biskup Józef Pelczar chętnieby oddał X. X. Salezyanom. Otoż po wykończeniu Zakładu, pożądaną ogólnie jest rzeczą, by jak najprędzej zabrać się do budowy tegoż. Będzie to kościół p. w. Św. Józefa patrona Najprz. X. Biskupa Pelczara. Znaną jest działalność Jego na polu piśmiennictwa kościelnego i pracy społecznej we wszystkich dzielnicach dawnej Polski, przez co zasłużył sobie na miłość i szacunek nietylko swych owieczek, ale i u każdego polaka.

W roku 1914-tym obchodzić będzie Najdostojniejszy ten Arcypasterz swój złoty jubileusz kapłański. Jakaż radość byłaby to dla nas, gdybyśmy mu w tym pamiętnym roku oddać mogli jako hołd miłości i wdzięczności nowo wybudowany kościół?

Sami nic nie zrobimy, *wszystko* jednak dobrą chęcią i wspólnemi siłami Przezacnych Pomocników naszych.

Na początek budowy oddał nam Najprz. Arcypasterz spory zasób dzieł przez siebie wydanych. Są one następujące i, jak wszystkie, co dotąd wyszły z pod jego pióra, nader wartościowej treści:

1) **Pius IX i Jego Pontyfikat.** Dzieło historyczne w 3 tomach, wydanie drugie. Cena już z przesyłką 12 kor. — 11 marek — 5 rubli.

2) **Podręcznik Adoracyi Przenajśw. Sakramentu.** Cena z przesyłką 1 kor. 50 h. — 1 marka 40 f. — 60 kop.

3) **Czytanie Duchowne o Najśw. Maryi Pannie.** Cena z przesyłką 1 kor. 50 h. — 1 marka 40 f. — 60 kop.

4) **Nabożeństwo do Najsł. Serca Pana Jezusa.** Cena z przesyłką 1 kor. — 90 fen. — 40 kop.

Ostatnie 3 dziełka nader piękne, służyć mogą jako książki modlitewne.

5) **Obrazki Historyczne z Dziejów Polski.** Dwa tomiki już z przesyłką 1 kor. 20 h. — 1 marka. — 50 kop.

6) **Na Syberyi.** Z przesyłką 1 kor. — 90 fen. — 40 kop.

Ponadto wyjdą naszym nakładem.

1) **Najśw. Marya Panna jako Wspomożycielka Wiernych.**

2) **Życiorys młodzieniaszka Dominika Savio.**

Czysty dochód ze sprzedaży tych dzieł przeznaczony na budowę kościoła. Nabyć ich można w Zakładzie salezyańskim w Przemyślu, dokąd także dobrowolne ofiary posyłać można.

Adres: *Wielebny Ksiądz Dyrektor*

Zakładu Salezyańskego

w PRZEMYŚLU

Galicya - Ul. Św. Jana 15.

ZAKŁAD SALEZYANSKI

pod wezwaniem św. Rodziny

w DASZAWIE

O. P. GELSENDORF KOŁO STRYJA

Stacya kol. i telegr. Chodowice.

(AUSTRYA-GALICYA.)

Żarliwości Czcig. Ks. Jana Bosko, Założyciela Zgromadzenia Salezyańskiego, nie uchodziło nic, co stało w jakimś związku z pomnażaniem chwały Bożej i zbawieniem dusz. Odkąd sam został kapłanem, starał się naprowadzać na drogę, wiodącą do ołtarza, jak najliczniejsze zastępy młodzieńców, dla których założył liczne zakłady naukowe, a w późniejszych latach powziął myśl dzieła, które, jak się wyraził Ks. Kardynał Alimonda, tylko w sercu iście apostolskiem Ks. Jana Bosko, przepełnionem żarliwą gorliwością o ratowanie dusz, zrodzić się mogło. Mianowicie, opierając się na przykładach św. Ignacego Lojoli, św. Kamila de Lellis i innych, założył zakłady dla takich również młodzieńców, którzy, czując w swem sercu powołanie do stanu duchownego, dla jakichkolwiek powodów nie mogli we właściwym wieku rozpocząć swych nauk. Zakłady te oddał pod szczególną opiekę Najśw. M. P. Wspomożenia Wiernych, a wychowanków tychże nazwał „**Synami Maryi**." Był on przekonania, że zakłady podobne, ujęte w właściwą formę i należycie pokierowane, dostarczą Kościołowi znacznej liczby gorliwych kapłanów . I nie zawiódł się . Gdyż jeszcze przy końcu swojego życia cieszył się owocami swego dzieła. Z szeregów Synów Maryi wyszło przeszło 800 wzorowych kapłanów i niezmordowanych misyonarzy, z pomiędzy których są chlubą Zgromadzenia Salezyańskiego śp. Książę August Czartoryski, Ks. Michał Unia, apostoł trędowatych w Kolumbii, Ks. Jan Balzola, apostoł Indyan Bororów i wielu innych.

Celem więc zakładów Synów Maryi jest ułatwić kształcenie chłopców i młodzieńców, którzy, będąc odpowiednio pod względem umysłu i serca przygotowani, pragną iść za głosem Bożym, a ukończywszy odpowiednie nauki, poświęcić się następnie na służbę Bożą w stanie duchownym.

Taki zakład powstał w Daszawie pod Stryjem, w Galicyi wschodniej. Warunki przyjęcia są następujące:

1) Kandydat powinien: *a*) pochodzić z dobrej katolickiej rodziny; *b*) mieć zamiar wstąpić do stanu duchownego; *c*) mieć ukończoną z dobrym postępem przynajmniej szkołę ludową; *d*) cieszyć się zupełnem zdrowiem; *e*) mieć lat 15-20. Wyjątkowo tylko przyjmuje się o rok prędzej i o jaki rok później.

2) Podanie o przyjęcie wnosić należy piśmiennie, załączając świadectwa: *a*) moralności od Ks. Proboszcza; *b*) zdrowia i powtórnego szczepienia ospy; *c*) szkolne; *d*) urodzenia i chrztu.

3) Aby zapobiedz niepotrzebnym wydatkom podróży, które bywają połączone z obustronnem niezadowoleniem, oświadcza się, że nie przyjmie się stanowczo nikogo, ktoby nie otrzymał poprzednio formalnego listu przyjęcia od dyrekcyi zakładu. Przyjęcie uskutecznia się tylko z końcem czerwca i początkiem lipca; stąd zgłoszenia nadesłane w ciągu roku będą musiały czekać aż do tej pory na odpowiedź decydującą.

4) Plan nauki obejmuje pięć klas gimnazyalnych według przepisów rządowych. Prócz tego w godzinach pozaszkolnych udziela się nauki śpiewu i gry na instrumentach, przeważnie rzniętych. Kto przepadnie w egzaminie rocznym, nie będzie mógł powtarzać klasy; a zatem zaprzestaje dalszej nauki.

5) W zakładach ks. ks. Salezyanów udziela się nauki bezpłatnie. Z powodu jednakże niezmiernych wydatków na utrzymanie, światło, opał i t. p., naznacza się pensyę miesięczną 30 koron (około 26 marek, 12 rubli) co wobec dzisiejszej drożyzny jest kwotą zbyt mierną. Pensyę tę uiszcza się naprzód co kwartał. Ponadto ponosi wychowanek wydatki na książki, na kancelaryjne przybory, na ubrania i reparacye tychże i t. p. — Za pranie i naprawę bielizny płaci się kwartalnie 6 koron.

6) Wyprawa obejmuje:

a) Jeden ubiór świąteczny i dwa ubiory na dni powszednie, płaszcz zimowy, 2 pary kamaszy.

b) Koszul letnich 6, koszul zimowych 3, gatek 6, skarpetek 10 par, chustek do nosa 12, ręczników 5, kołnierzyków 10, szczotki, grzebień i t. d.

c) Na łóżko, prześcieradła, poszewki, materac i kołdry złożyć należy przy wstępie 30 koron, którą to kwotę raz tylko się uiszcza, a nie zwraca jej się, chociażby wychowanek tylko miesiąc zatrzymał się w Zakładzie.

7) Prośby o przyjęcie adresować należy:

Przewielebny Ks. Dyrektor Zakładu Salezyańskiego
w Daszawie
(Austrya-Galicya) o. p. Gelsendorf, koło Stryja.

Uprasza się podawać za każdą razą swój dokładny adres i załączać odpowiedni znaczek na odpowiedź.